

Henryk Sienkiewicz

NOWELE

Wirtualna Biblioteka Literatury Polskiej



Uniwersytet Gdański • Polska.pl • NASK

Tekst pochodzi ze zbiorów
„Wirtualnej Biblioteki Literatury Polskiej”
Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Gdańskiego

SPIS TREŚCI

JANKO MUZYKANT	3
ZA CHLEBEM	10
I. NA OCEANIE – ROZMYŚLANIE – BURZA – PRZYBYCIE	10
II. W NOWYM JORKU	27
III. ŻYCIE OSADNICZE	47
LATARNIK	67
I	67
II	72
III	76
SACHEM	81
SĄD OZYRYSA	88
LEGENDA ŻEGLARSKA	94
H. K. T.	97
Z PAMIĘTNIKA POZNAŃSKIEGO NAUCZYCIELA	98

JANKO MUZYKANT

Przyszło to na świat wątłe, słabe. Kумы, co się były zebrały przy tapczanie położnicy, kręciły głowami i nad matką, i nad dzieckiem. Kowalka Szymonowa, która była najmądrzejsza, poczęła chorą pocieszać:

– Dajta – powiada – to zapalę nad wami gromnicę, już z was nic nie będzie, moja kumo; już wam na tamten świat się wybierać i po dobrodzieja by posłać, żeby wam grzechy wasze odpuścił.

– Ba! – powiada druga – a chłopaka to zara trza ochrzcić; on i dobrodzieja nie doczeka, a – powiada – błogo będzie, co choć i strzygą się nie ostanie.

Tak mówiąc zapaliła gromnicę, a potem wzięwszy dziecko pokropiła je wodą, aż poczęło oczki mrużyć, i rzekła jeszcze:

– Ja ciebie „krzcę” w Imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego i daję ci na przezwisko Jan, a terazże, duszo „krześcijańska”, idź, skądś przyszła. Amen.

Ale dusza chrześcijańska nie miała wcale ochoty iść, skąd przyszła, i opuszczać chuderlawego ciała, owszem, poczęła wierzgać nogami tego ciała, jako mogła, i płakać, chociaż tak słabo i żałośnie, że jak mówiły kумы: „myślałby kto, kocię nie kocię albo co!”

Posłano po księdza; przyjechał, zrobił swoje, odjechał, chorej zrobiło się lepiej. W tydzień wyszła baba do roboty. Chłopak ledwo zipał, ale zipał; aż w czwartym roku okukała kukułka na wiosnę chorobę, więc się poprawił i w jakim takim zdrowiu doszedł do dziesiątego roku życia.

Chudy był zawsze i opalony, z brzuchem wydętym, a zapadłymi policzkami; czuprynę miał konopną, białą prawie i spadającą na jasne, wytrzeszczone oczy, patrzące na świat, jakby w jakąś niezmierną dalekość wpatrzone. W zimie siadywał za piecem i popłakiwał cicho z zimna, a czasem i z głodu, gdy matula nie mieli co włożyć ani do pieca, ani do garnka; latem chodził w koszulinie przepasanej krajką i w słomianym „kapalusie”, spod którego obdartej kani spoglądał, zadzierając jak ptak głowę do góry. Matka, biedna komornica, żyjąca z dnia na dzień niby jaskółka pod cudzą strzechą, może go tam i kochała po swo-

jemu, ale biła dość często i zwykle nazywała „odmieńcem”. W ósmym roku chodził już jako potrzódka za bydłem lub, gdy w chałupie nie było co jeść, za bedłkami do boru. Że go tam kiedy wilk nie zjadł, zmiłowanie Boże.

Był to chłopak nierozgarnięty bardzo i jak wiejskie dzieciaki przy rozmowie z ludźmi palec do gęby wkładający. Nie obiecywali sobie nawet ludzie, że się wychowa, a jeszcze mniej, żeby matka mogła doczekać się z niego pociechy, bo i do roboty był ladaco. Nie wiadomo, skąd się to takie ulęgło, ale na jedną rzecz był tylko łapczywy, to jest na granie. Wszędzie też je słyszał, a jak tylko trochę podrośł, tak już o niczym innym nie myślał. Pójdzie, bywało, do boru za bydłem albo z dwojakami na jagody, to się wróci bez jagód i mówi szepleniąc:

– Matulu! tak ci coś w boru „grłało”. Oj! Oj!

A matka na to:

– Zagram ci ja, zagram! nie bój się!

Jakoż czasem sprawiała mu warząchwią muzykę. Chłopak krzyczał, obiecywał, że już nie będzie, a taki myślał, że tam coś w boru grało... Co? Albo on wiedział?... Sosny, buki, brzezina, wilgi, wszystko grało: cały bór, i basta!

Echo też... W polu grała mu bylica, w sadku pod chałupą ćwirkotały wróble, aż się wiśnie trzęsły! Wieczorami słuchiwał wszystkich głosów, jakie są na wsi, i pewno myślał sobie, że cała wieś gra. Jak posłali go do roboty, żeby gnój rozrzucił, to mu nawet wiatr grał w widłach.

Zobaczył go tak raz karbowy, stojącego z rozrzuconą czupryną i słuchającego wiatru w drewnianych widłach... zobaczył i odpasawszy rzemyka dał mu dobrą pamiątkę. Ale na co się to zdało! Nazywali go ludzie „Janko Muzykant”!... Wiosną uciekał z domu kręcić fujarki wedle strugi. Nocami, gdy żaby zaczynały rzechotać, derkakce na łąkach derkotać, bąki po rosie burczyć; gdy koguty piałły po zapłociach, to on spać nie mógł, tylko słuchał i Bóg go jeden wie, jakie on i w tym nawet słyszał granie... Do kościoła matka nie mogła go brać, bo jak, bywało, zahuczą organy lub zaśpiewają słodkim głosem, to dziecku oczy tak mgłą zachodzą, jakby już nie z tego świata patrzyły...

Stójka, co chodził nocą po wsi i aby nie zasnąć, liczył gwiazdy na niebie lub rozmawiał po cichu z psami, widział nieraz białą koszulę Janka, przemykającą się w ciemności ku karczmie. Ale przecież chłopak nie do karczmy chodził, tylko pod karczmę. Tam przyczaiwszy się pod murem, słuchał. Ludzie tańcowali obertasa, czasem jaki parobek pokrzykiwał: „U-ha!” Słyszać było tupanie butów, to znów głosy

dziewczyn: „Czegóż?” Skrzypki śpiewały cicho: „Będziem jedli, będziem pili, będziwa się weselili”, a basetla grubym głosem wtórowała z powagą: „Jak Bóg dał! jak Bóg dał!” Okna jarzyły się światłem, a każda belka w karczmie zdawała się drgać, śpiewać i grać także, a Jan-ko słuchał!...

Co by on za to dał, gdyby mógł mieć takie skrzypki grające cienko; „Będziem jedli, będziem pili, będziwa się weselili.” Takie deszczułki śpiewające. Ba! ale skąd ich dostać? gdzie takie robią? Żeby mu przynajmniej pozwolili choć raz w rękę wziąć coś takiego!... Gdzie tam! Wolno mu tylko było słuchać, toteż i słuchał zwykle dopóty, dopóki głos stójki nie ozwał się za nim z ciemności: – Nie pójdziesz ty do domu, utrapieńcze?

Więc wówczas zmykał na swoich bosych nogach do domu, a za nim biegł w ciemnościach głos skrzypiec: „Będziem jedli, będziem pili, będziwa się weselili”, i poważny głos basetli: „Jak Bóg dał! Jak Bóg dał! Jak Bóg dał!”

Gdy tylko mógł słyszeć skrzypki, czy to na dożynkach, czy na weselu jakim, to już dla niego było wielkie święto. Właził potem za piec i nic nie mówił po całych dniach, spoglądając jak kot błyszczącymi oczyma z ciemności. Potem zrobił sobie sam skrzypki z gonta i włosienia końskiego, ale nie chciały grać tak pięknie jak tamte w karczmie: brzęczały cicho, bardzo cichutko, właśnie jak muszki jakie albo komary. Grał jednak na nich od rana do wieczora, choć tyle za to odbierał szturchańców, że w końcu wyglądał jak obite jabłko niedojrzałe. Ale taka to już była jego natura. Dzieciaczyna chudł coraz bardziej, brzuch tylko zawsze miał duży, czuprynę coraz gęstsza i oczy coraz szerzej otwarte, choć najczęściej łzami zalane, ale policzki i piersi wpadały mu coraz głębiej i głębiej...

Wcale nie był jak inne dzieci, był raczej jak jego skrzypki z gonta, które zaledwie brzęczały. Na przednówku przy tym przymierał głodem, bo żył najczęściej surową marchwią i także chęcią posiadania skrzypek.

Ale ta chęć nie wyszła mu na dobre.

We dworze miał skrzypce lokaj i grywał czasem na nich szarą godziną, aby się podobać pannie służącej. Janko czasem podczołgiwał się między łopuchami, aż pod otwarte drzwi kredensu, żeby im się przypatrzyć. Wisiały właśnie na ścianie naprzeciw drzwi. Więc tam chłopak duszę swoją całą wysyłał ku nim przez oczy, bo mu się zdawało, że to niedostępna jakaś dla niego świętość, której niegodzien tknąć, że to jakieś jego najdroższe ukochanie. A jednak pożądał ich. Chciałby

przynajmniej raz mieć je w rękę, przynajmniej przypatrzeć się im bliżej... Biedne małe chłopskie serce drżało na tę myśl ze szczęścia.

Pewnej nocy nikogo nie było w kredensie. Państwo od dawna siedzieli za granicą, dom stał pustkami, więc lokaj przesiadywał na drugiej stronie u panny pokojowej. Janko, przyczajony w łopuchach, patrzył już od dawna przez otwarte szerokie drzwi na cel wszystkich swych pożądań. Księżyc właśnie na niebie był pełny i wchodził ukosnie przez okno do kredensu, odbijając je w kształcie wielkiego jasnego kwadratu na przeciwległej ścianie. Ale ten kwadrat zbliżał się powoli do skrzypiec i w końcu oświetlił je zupełnie. Wówczas w ciemnej głębi wydawało się, jakby od nich biła światłość srebrna; szczególnie wypukłe zgięcia oświetlone były tak mocno, że Janek ledwie mógł patrzeć na nie. W onym blasku widać było wszystko doskonale: wcięte boki, struny i zagiętą rączkę. Kołeczki przy niej świeciły jak robaczki świętojańskie, a wzdłuż zwieszał się smyczek na kształt srebrnego pręta...

Ach! wszystko było śliczne i prawie czarodziejskie; Janek też patrzył coraz chciwiej. Przykucnięty w łopuchach, z łokciami opartymi o chude kolana, z otwartymi ustami patrzył i patrzył. To strach zatrzymywał go na miejscu, to jakaś nieprzewyciężona chęć pchała go naprzód. Czy czary jakie, czy co?... Ale te skrzypce w jasności czasem zdawały się przybliżać, jakoby płynąc ku dziecku... Chwilami przygasały, aby znowu rozpromienić się jeszcze bardziej. Czary, wyraźne czary! Tymczasem wiatr powiał; zaszumiały cicho drzewa, załopotwały łopuchy, a Janek jakoby wyraźnie usłyszał:

– Idź, Janku! w kredensie nie ma nikogo... idź, Janku!...

Noc była widna, jasna. W ogrodzie dworskim nad stawem słowik zaczął śpiewać i pogwizdywać cicho, to głośniej: „Idź! pójdź! weź!” Lelek pocziwy cichym lotem zakręcił się koło głowy dziecka i zawołał: „Janku, nie! nie!” Ale lelek odleciał, a słowik został i łopuchy coraz wyraźniej mruczały: „Tam nie ma nikogo!” Skrzypce rozpromieniły się znowu...

Biedny, mały, skulony kształt z wolna i ostrożnie posunął się naprzód, a tymczasem słowik cichuteńko pogwizdywał: „Idź! pójdź! weź!”

Biała koszula migotała coraz bliżej drzwi kredensowych. Już nie okrywają jej czarne łopuchy. Na progu kredensowym słychać szybki oddech chorych piersi dziecka. Chwila jeszcze, biała koszulka znikła, już tylko jedna bosa nóżka wystaje za progiem. Na próżno, lelku, przelatujesz jeszcze raz i wołasz: „Nie! nie!” Janek już w kredensie.

Zarzechotały zaraz ogromnie żaby w stawie ogrodowym, jak gdyby przestraszone, ale potem ucichły. Słowik przestał pogwizdywać, łopuchy szemrać. Tymczasem Janek czołgał się cicho i ostrożnie, ale zaraz go strach ogarnął. W łopuchach czuł się jakby u siebie, jak dzikie zwierzątko w zaroślach, a teraz był jak dzikie zwierzątko w pułapce. Ruchy jego stały się nagłe, oddech krótki i świszczący, przy tym ogarnęła go ciemność. Cicha, letnia błyskawica, przeleciawszy między wschodem i zachodem, oświeciła raz jeszcze wnętrze kredensu i Janka na czworakach przed skrzypcami z głową zadartą do góry. Ale błyskawica zgasła, księżyc przesłoniła chmurka i nic już nie było widać ani słyhać.

Po chwili dopiero z ciemności wyszedł dźwięk cichutki i płaczliwy, jakby ktoś nieostrożnie strun dotknął – i nagle...

Gruby jakiś, zaspany głos, wychodzący z kąta kredensu spytał gniewliwie:

– Kto tam?

Janek zataił dech w piersiach, ale gruby głos spytał powtórnie:

– Kto tam?

Zapałka zaczęła migotać po ścianie, zrobiło się widno, a potem... Eh! Boże! Słyhać klątwy, uderzenia, płacz dziecka, wołanie: O! dla-boga! szczekanie psów, bieganie świateł po szybach, hałas w całym dworze...

Na drugi dzień biedny Janek stał już przed sądem u wójta.

Mieliż go tam sądzić jako złodzieja?... Pewno. Popatrzyli na niego wójt i ławnicy, jak stał przed nimi z palcem w gębie, z wytrzeszczonymi zalękłymi oczyma, mały, chudy, zamorusany, obity, nie wiedzący, gdzie jest i czego od niego chcą? Jakże tu sądzić taką biedę, co ma lat dziesięć i ledwo na nogach stoi? Do więzienia ją posłać czy jak?... Trzebaż przy tym mieć trochę miłosierdzia nad dziećmi. Niech go tam weźmie stójka, niech mu da różgą, żeby na drugi raz nie kradł, i cała rzecz.

– Bo pewno!

Zawołali Stacha, co był stójką:

– Weź go ta i daj mu na pamiątkę.

Stach kiwnął swoją głupowatą, zwierzęcą głową, wziął Janka pod pachę, jakby jakiego kociaka, i wyniósł ku stodółce. Dziecko, czy nie rozumiało, o co chodzi, czy się zalękło, dość że nie ozwało się ni słowem, patrzyło tylko, jakby patrzył ptak. Albo on wie, co z nim zrobić? Dopiero jak go Stach w stodole wziął garścią, rozciągnął na ziemi i podgiąwszy koszulinę machnął od ucha, dopieroż Janek krzyknął:

– Matulu! – i co go stójka różgą, to on – „Matulu! matulu!!”, ale coraz ciszej, słabiej, aż za którymś razem ucichło dziecko i nie wołało już matuli...

Biedne, potrząskane skrzypki!...

– Ej, głupi, zły Stachu! któż tak dzieci bije? Toż to małe i słabe, i zawsze było ledwie żywe.

Przyszła matka, zabrała chłopaka, ale musiała go zanieść do domu... Na drugi dzień nie wstał Janek, a trzeciego wieczorem konał już sobie spokojnie na tapczanie pod zgrzebnym kilimkiem.

Jaskółki świegotały w czereśni, co rosła pod przyzbą; promień słońca wchodził przez szybę i oblewał jasnością złotą, rozczochraną główkę dziecka i twarz, w której nie zostało kropli krwi. Ów promień był niby gościńcem, po którym mała dusza chłopczyka miała odejść. Dobrze, że choć w chwilę śmierci odchodziła szeroką, słoneczną drogą, bo za życia szła po prawdzie ciernistą. Tymczasem wychudłe piersi poruszały się jeszcze oddechem, a twarz dziecka była jakby zasłuchana w te odgłosy wiejskie, które wchodziły przez otwarte okno. Był to wieczór, więc dziewczęta wracające od siana śpiewały: „Oj, na zielonej, na runi!”, a od strugi dochodziło granie fujarek. Janek wsłuchiwał się ostatni raz, jak wieś gra... Na kilimku przy nim leżały jego skrzypki z gonta.

Nagle twarz umierającego dziecka rozjaśniła się, a z bielejących warg wyszedł szept:

– Matulu?...

– Co, synku? – ozwała się matka, którą dusiły łzy...

– Matulu, Pan Bóg mi da w niebie prawdziwe skrzypki?

– Da ci, synku, da! – odrzekła matka; ale nie mogła dłużej mówić, bo nagle z jej twardej piersi buchnęła wzbierająca żałość, więc jęknąwszy tylko: „O Jezu! Jezu!”, padła twarzą na skrzynię i zaczęła ryczeć, jakby straciła rozum albo jak człowiek, co widzi, że od śmierci nie wydrze swego kochania...

Jakoż nie wydarła go, bo gdy podniósłszy się znowu spojrzała na dziecko, oczy małego grajka były otwarte wprawdzie, ale nieruchome, twarz zaś poważna bardzo, mroczna i stężała. Promień słoneczny odszedł także...

Pokój ci, Janku!

*

Nazajutrz powrócili państwo do dworu z Włoch wraz z panną i kawalerem, co się o nią starał. Kawaler mówił:

– *Quel beau pays que l'Italie.*

– I co to za lud artystów. *On est heureux de chercher lá-bas des talents et de les protéger...* – dodała panna.

Nad Jankiem szumiały brzozy...

ZA CHLEBEM

I. NA OCEANIE – ROZMYŚLANIE – BURZA – PRZYBYCIE

Na szerokich falach oceanu kołysał się niemiecki statek „Blücher”, płynący z Hamburga do New Yorku.

Od czterech dni był już w drodze, a od dwóch minął zielone brzegi Irlandii i wydostał się na pełnię. Z pokładu, jak okiem dojrzeć, widać było tylko zieloną i szarą równinę, poraną w bruzdy i zagony, rozkołysaną ciężko, miejscami zapienioną, w dali coraz ciemniejszą i zlewającą się z widnokregiem pokrytym białymi chmurami.

Blask tych chmur padał miejscami i na wodę, a na tym tle perłowym odrzynał się wyraźnie czarny kadłub statku. Kadłub ten, zwrócony dziobem ku zachodowi, to wspinał się pracowicie na fale, to zapadał w głąb, jakby tonął; czasem nikał z oczu, czasem wzniesiony na grzbiecie bałwanu wynurzył się tak, że aż dno było mu widać, a szedł naprzód. Fala płynęła ku niemu, a on ku fali – i rozcinał ją piersiami. Za nim, jakby olbrzymi waż, gonił biały gościeńiec spienionej wody; kilka mew leciało za sterem, przewracając kozły w powietrzu i kwiląc jakby polskie czajki.

Wiatr był dobry: statek szedł połową pary, a natomiast rozpiął żagle. Pogoda znaczyła się coraz lepsza. Miejscami pomiędzy poszarpanymi chmurami widać było kawały błękitu nieba, zmieniające kształt ustawicznie. Od chwili, jak „Blücher” opuścił port hamburski, czas był wietrzny, ale bez burzy. Wiatr dął ku zachodowi, chwilami jednak ustawał: wówczas żagle opadały z łopotem, aby następnie znowu wydąć się na kształt piersi łabędziej. Majtkowie, poubierani we włóczkowe obcisłe kaftany, ciągnęli linę dolnej rei wielkiego masztu i krzycząc żałośnie: „Ho-ho-o!”, pochylali się i prostowali w takt do śpiewu, a wołania ich mieszały się ze świstem piszczałek miczmeńskich i z gorączkowym oddechem komina, wyrzucającego przerywane kłęby lub pierścienie czarnego dymu.

Korzystając z pogody pasażerowie powysypywali się na pokład. Na tyle okrętu widać było czarne paltoty i kapelusze podróżnych z pierwszej klasy; na przodzie pstrzyła się różnobarwna gawiedź emigrantów jadących pod pokładem. Niektórzy z nich siedzieli na ławkach pałac krótkie fajki, inni pokładli się, inni poopierani o burty spoglądali na dół w wodę.

Było i kilka kobiet z dziećmi na ręku i blaszanymi naczyniami, pouwiązywanyymi do pasa; kilku młodych ludzi przechadzało się wzdłuż od dzioba aż do pomostu, chwytając z trudnością równowagę i zataczając się co chwila. Ci śpiewali: „*Wo ist das deutsche Vaterland!*?” i może myśleli, że tego „*Vaterlandu*” nigdy już nie zobaczą, ale mimo to wesołość nie schodziła im z czoła. Pomiedzy wszystkimi ludźmi dwoje było najsmutniejszych i jakby od reszty odłączonych: stary mężczyzna i młoda dziewczyna. Oboje, nie rozumiejąc po niemiecku, byli prawdziwie samotni i wśród obcych. Kto oni byli – każdy z nas na pierwszy rzut oka by to odgadł: chłop polscy.

Chłop nazywał się Wawrzon Toporek, a dziewczyna, Marysia, była jego córka. Jechali do Ameryki i przed chwilą po raz pierwszy ośmielili się wyjść na pokład. Na zbiedzonych chorobą ich twarzach malował się przestach i zdziwienie zarazem. Wylękłymi oczyma spoglądali na towarzyszków podróży, na majtków, na statek, na komin oddychający gwałtownie i na groźne wały wodne, ciskające grzywę piany aż do burt statku. Nie mówili do siebie nic, bo nie śmieli. Wawrzon trzymał się jedną ręką za poręcz, drugą za czapkę rogatą, żeby mu jej wiatr nie zerwał, a Marysia trzymała się tatula i ile razy statek pochylił się mocniej, tyle razy przytulała się do niego silniej, wykrzykując po cichu ze strachu. Po jakimś czasie stary przerwał milczenie:

- Maryś!
- A co?
- Widzisz?
- Widzę.
- A dziwujesz się?
- Dziwuję się.

Ale więcej się jeszcze bała, niż dziwiła; stary Toporek to samo. Szczęściem dla nich fala zmniejszała się, wiatr ustawał, a przez chmury przedarło się słońce. Gdy ujrzeli „słonko kochane”, lżej im się zrobiło na sercu, bo sobie pomyśleli, że „ono takuteńkie jak w Lipińcach”. Jakóż wszystko było dla nich nowym i nieznanym, tylko ten krąg sło-

neczny, jarzący a promienny, wydał im się jakby dawnym przyjacielem i opiekunem.

Tymczasem morze wygładzało się coraz więcej; po jakimś czasie żagle opadły, z wysokiego pomostu rozległa się świstawka kapitana i majtkowie rzucili się je upinać. Widok tych ludzi zawieszonych jakby w powietrzu nad otchłanią przejął znów zdumieniem Toporka i Marysię.

– Nasze chłopaki nie potrafiliby tak – rzekł stary.

– Kiej Niemcy wleźli, to i Jaśko by wleź – odparła Marysia.

– Który Jaśko?... Sobków?

– Gdziet Sobków. Powiadam Smolak, koniucha.

– On je chwacki, ale ty go sobie z głowy wybij. Ni jemu do ciebie, ni tobie do niego. Ty jedziesz panią być, a on, jak był koniuchą, tak się i zostanie.

– On też kolonię ma...

– Ma, to w Lipińcach.

Marysia nie odrzekła nic, pomyślała sobie tylko, że co komu przeznaczone, to go nie minie, i westchnęła tęsknie, a tymczasem żagle były już upięte, natomiast śruba zaczęła tak silnie burzyć wodę, że aż cały statek drżał od jej ruchów. Ale kołysanie ustało prawie zupełnie. W oddali woda wydawała się już nawet gładką i błękitną. Coraz nowe postacie wydobywały się spod pokładu: robotnicy, chłopci niemieccy, próżniacy uliczni z różnych miast nadmorskich, którzy jechali do Ameryki szukać szczęścia, nie pracy; tłok zapanował na pomoście, więc Wawrzon z Marysią, by nie leżeć nikomu w oczy, usiedli na zwoju lin w samym kątku wedle dzioba.

– Tatulu, długo jeszcze pojedzie bez wodę? – pytała Marysia.

– Czy ja wiem. Kogo się spytasz, nikt ci nie odpowie po katolicku.

– A jakże my będziawa w Ameryce się rozmawiać?

– Albo to nie mówili, że tam naszego narodu chmara jest?

– Tatulu!

– Czego?

– Dziwować się, to się i dziwować, ale zawdyk w Lipińcach było lepiej.

– Nie bluźniłabyś po próżnicy.

Po chwili jednak Wawrzon dodał, jakby mówiąc sam do siebie:

– Wola Boża!...

Dziewczynie oczy nabrały łzami, a potem oboje zaczęli rozmyślać o Lipińcach. Wawrzon Toporek rozmyślał, dlaczego jechał do Amery-

ki, i jak się to stało, że jechał. Jak się stało? Oto przed pół rokiem w lato zajęli mu krowę z koniczyny. Gospodarz, który ją zajął, chciał trzy marki za szkodę. Wawrzon nie chciał dać. Poszli do sądu. Sprawa przewlokła się do wyroku. Poszkodowany gospodarz żądał już nie tylko za krowę, ale i za kosza jej utrzymania, a kosza rosły z każdym dniem. Wawrzon się upierał, bo żał mu było pieniędzy. Na sam proces wydał już niemało, wlokło się i wlokło. Kosza ciągle rosły. Na koniec przegrał Wawrzon sprawę. Za krowę już się Bóg wie co należało; że zaś nie miał czym zapłacić, zajęli mu konia, a jego za opór skazali do aresztu. Toporek wił się już wąż, bo żniwa właśnie nadeszły, więc i ręce, i sprzężaj potrzebne były do roboty. Opóźnił się ze zwózką, potem też zaczęły padać deszcze; zboże porosło mu w snopach, więc pomyślał, że przez jedną szkodę w koniczynie cała jego chudoba pójdzie na marne, że stracił tyle pieniędzy, część inwentarza, całoroczny plon i że na przednówku chyba ziemię będą gryźli oboje z dziewczyną albo pójdą po proszonym chlebie.

Że zaś przedtem chłop był dostatni i dobrze mu się wiodło, zdjęła go tedy rozpacz straszna i począł pić. W karczmie poznał się z Niemcem, co się po wsiach niby o len zamawiał, a w rzeczy samej ludzi za morze wywodził. Niemiec powiadał mu cuda i dziwy o Ameryce. Ziemi obiecywał darmo tyle, ile w całych Lipińcach nie było – i z borem, i z łąkami, a chłopu aż się oczy śmiały. Wierzył i nie wierzył, ale Niemcowi Żyd pachciarz wtórował i mówił, że tam rząd daje ziemi każdemu, „ile by kto strzymał”. Żyd to wiedział od swojego synowca. Sam Niemiec pokazywał pieniądze, jakich nie tylko chłopskie, ale i dziedzicowe oczy jako żywo nie widziały. Chłopa kusili, aż go skusili. A jemu tu po co zostawać? Toż za jedną szkodę stracił tyle, że parobka mógłby za to utrzymać. Mali się na zatracenie podawać? Mali wziąć w rękę kij z jeżem i śpiewać pod kościołem „Święta niebieska, Panno anielska”? – Nic z tego nie będzie, pomyślał. Niemca dłonią w dłoń uderzył, do świętego Michała się wyprzedził, córkę wziął i oto płynął teraz do Ameryki.

Ale podróż nie znaczyła mu się tak dobrze, jak się spodziewał. W Hamburgu obdarli ich bardzo z pieniędzy; na statku jechali we wspólnej sali pod pokładem. Kołysanie się statku i nieskończoność morska przerażały ich. Nikt go nie mógł zrozumieć ani on nikogo. Rzucano nimi obojgiem jak rzeczą jaką; popychano go jak kamień przy drodze; Niemcy towarzysze drwili z niego i z Marysi. W porze obiadowej, gdy wszyscy cisnęli się z naczyniami do kucharza rozdającego strawę, ich

odpychano na sam koniec, tak że i głodem przyszło nieraz przymrzeć. Było mu na tym statku źle, samotno, obco. Oprócz opieki Bożej nie czuł nad sobą innej. Miną przy dziewczynie nadrabiał, czapkę na bakier przekrzywił, kazał się dziwić Marysi i sam się dziwił wszystkiemu, ale nie ufał niczemu. Chwilami ogarniała go obawa, że może te „pogany”, jak nazywał towarzyszków, w wodę ich oboje wrzucą, może mu każą wiarę zmienić albo papier jaki podpisać, ba, choćby i cyrograf!

Sam ten statek, który szedł naprzód dzień i noc po bezmiarach morskich, który trząsał się, huczał, pienił wodę, oddychał jak smok, a nocą ciągnął za sobą warkocz iskier ognistych, wydawał mu się jakąś siłą podejrzaną i wielce nieczystą. Dziecinne obawy, choć się do nich nie przyznawał, ścisnęły mu serce; bo też ten polski chłop, oderwany od ojczystego gniazda, był naprawdę dzieckiem bezradnym i naprawdę był na woli Bożej. Przy tym wszystko to, co widział, co go otaczało, nie mogło mu się w głowie pomieścić; więc nic dziwnego, że gdy siedział teraz oto na zwoju lin, głowa ta chyliła się pod brzemieniem ciężkiej niepewności i frasunku. Powiew morski grał mu w uszach i powtarzał jakby słowo „Lipińce! Lipińce!”, czasem też poświstywał jakby lipinieckie fujarki; słońce mówiło: „Jak się masz, Wawrzonie? Byłom w Lipińcach”, ale śruba burzyła wodę coraz gwałtowniej i komin oddychał coraz szybciej, głośniej, niby dwa złe duchy, które ciągnęły go dalej i dalej od Lipiniec.

Tymczasem za Marysią płynęły inne myśli i wspomnienia, a płynęły jako on spieniony gościniec lub jak mewy za okrętem. Wspominała oto, jako jesienią, późnym wieczorem, niedługo przed wyjazdem, poszła do studni, do żurawianej, w Lipińcach wodę brać. Pierwsze gwiazdy zamigotały już na niebie, a ona ciągnęła żurawia śpiewając: „Jasio konie poił – Kasia wodę brała” – i czegoś jej było tak tęskno, jakby jaskółce jakiej, co przed odlotem świergocze żałośnie... Potem spod boru, spod ciemnego ozwała się przeciągle ligawka... A to Jaśko Smolak, koniucha, dawał znać, że widzi, jako się żuraw chyli i że zaraz nadejdzie z „potrawów”. Jakoż zadudniało, nadjechał, zeskoczył ze żrebca, potrząsnął konopną czupryną, a co jej mówił, to wspominała jakby granie jakie. Przymknęła oczy i zdawało się jej, że Smolak znowu szepce do niej drgającym głosem:

– Kiej się twój tatulo uparli, to i ja zadatek dworski oddam, chałupinę sprzedam, kolonię sprzedam i pojadę. Maryś moja – mówił – gdzie ty będziesz, tam i ja żurawiem w powietrzu polecę, kaczorem wodą popłynę, złotym pierścieniem się po gościńcu potoczę, a znajdę

cię, jedyna! Albo dola jakowa bez ciebie? Gdzie ty się obrócisz, tam i ja się obróczę; co się z tobą stanie, to stanie się i ze mną; jedno nam życie i jedna śmierć, a jakom ci tu nad tą wodą studzienną ślubował, tak mnie niech Bóg opuści, jeśli cię opuszczę. Maryś moja jedyna!

Wspominając te słowa Marysia widziała i oną studnię, i miesiąc wielki, czerwony nad borem, i Jaśka jakby żywego. Miała też w tym rozmyślaniu ulgę i pociechę wielką. Jasiak chłop był zawzięty, więc wierzyła, że co rzekł, to i spełni. Ot, chciałyby tylko, żeby teraz był przy niej i słuchał z nią razem morskiego szumu. Z nim by było weselej i raźniej, bo on się nikogo nie bał i radę sobie umiał wszędzie dać. Co on tam robił teraz w Lipińcach, kiedy już pierwsze śniegi spaść musiały? Czy do boru z siekierą pojechał, czy konie obrządzał, czy może go ze dworu z saniami gdzie posłali, czy przereble na stawie rąbał? Gdzie on jest teraz, serdeczny? Tu dziewczynie uwidziały się Lipińce całkiem takie, jak były: śnieg skrzypiący na drodze, zorza rumiana między czarnymi gałęziami bezlistych drzew, stada wron ciągnące z krakaniem od boru ku wsi, dymy idące z kominów ku górze, zamarzyły żuraw przy studni, a w dali bór, od zorzy czerwony i śniegiem przytrząśnięty.

Hej! gdzie to ona teraz była, gdzie ją tatusiowa wola zawiodła! W dali, jak okiem sięgnąć, jeno woda i woda, zielonawe bruzdy i zapie-nione zagony, a na onych wodnych polach niezmiernych ten jeden okręt, ptak zabłąkany; niebo na górze, pustynia na dole, szum wielki i niby płkanie fal, i poświst wiatru, a tam, przed dziobem statku chyba dziewiąta ziemia, chyba kraj świata. Jaśku nieboże! czy ty tam trafisz za nią, czy sokołem przez powietrze poleciesz, czy rybą przez wodę popłyniesz, czy ty o niej myślisz w Lipińcach?

Powoli słońce chyliło się ku zachodowi i zapadało w ocean. Na pomarszczonej fali usłał się szeroki słoneczny gościniec, udzierzgał w łuskę złotą, mienił się, połyskiwał, świecił, płonął i ginął gdzieś na dalekościach. Okręt wpłynąwszy na tę wstęgę ognistą zdawał się gonić uciekające słońce. Dym buchający z komina stał się czerwony, żagle i wilgotne liny różowe, majtkowie zaczęli śpiewać, tymczasem promienny krąg stawał się coraz większy i coraz niżej zapadał w toń. Wkrótce połowę już tylko tarczy widać było nad falą, potem tylko promienie, a potem na całym zachodzie rozlała się jedna wielka zorza i już nie wiadomo było w tych blaskach, gdzie się kończy światłość fal, a zaczyna niebo, powietrze i woda, zarówno nasiąkłe światłem, które gasło stopniowo; ocean szumiał jednym wielkim, ale łagodnym szumem; jakby mrucał pacierz wieczorny.

W takich chwilach dusza dostaje skrzydeł w człowieku i co ma pamiętać – pamięta, co ukochał – kocha goręcej, za czym tęskni do tego leci. Wawrzon i Marysia uczuli też oboje, że choć ich tam wiatr niesie jako liście marne, przecie drzewo ich rodzime to nie ta strona, w którą jechali, ale tamta, z której odjechali: polska ziemia, ona zbożna, jednym łanem się kołysząca, borem zarośnięta, słomianymi strzechami upstrzona, pełna łąk od kaczeńca złotych i wodą świecących, pełna bocianów, jaskółek, krzyżów przydrożnych, białych dworów wśród lip; ona, co czapką rogatą pod nogi ima, słowami: „Pochwalony!” wita, a „na wieki wieków” odpowiada; ona wielmożna, ona matka najśodsza, taka pocziwa, ukochana nad wszystkie inne na świecie. Więc czego ich chłopskie serca przedtem nie czuły, to teraz uczyły. Wawrzon zdjął czapkę, światło zachodnie padło na siwiejące włosy; myśl jego pracowała, bo biedak nie wiedział, jak ma Marysi to, co mu się zdawało, powiedzieć; nareszcie rzekł:

– Maryś, tak mi się widzi, jakby tam coś zostało za morzem.

– Dola ostała i kochanie ostało – odrzekła cicho dziewczyna wznosząc oczy jakby do pacierza...

Tymczasem ściemniło się. Podróźni zaczęli schodzić z pokładu. Na okręcie panował jednak ruch niezwykły. Po pięknym zachodzie nie zawsze noc bywa spokojna, dlatego świstawki oficerskie rozlegały się ustawicznie, a majtkowie ciągnęli liny. Ostatnie purpurowe blaski zgasły na morzu, a jednocześnie z wody podniosła się mgła; gwiazdy zamigotały na niebie i zniknęły. Mgła gęstniała w oczach, przesłaniając niebo, widnokrąg i sam okręt. Widać było tylko jeszcze komin i wielki maszt środkowy; postacie marynarzy wydawały się z daleka jakby cienie. W godzinę później wszystko ukryło się w białawym тумanie, nawet latarnia, którą zawieszono na szczycie masztu, nawet iskry, które wydychał komin.

Okręt nie kołysał się wcale. Rzekłby kto, że fala osłabła i rozlała się pod ciężarem mgły.

Noc zapadała prawdziwie ślepa i cicha. Nagle wśród tej ciszy z najdalszych krańców widnokregu ozwały się dziwne szmery. Był to niby ciężki oddech jakiejś olbrzymiej piersi, który się zbliżał. Chwilami zdawało się, że ktoś wołał z ciemności, potem ozwały się całe chorowody głosów, dalekie, a niezmiernie żalosne i jakby skarżące się płaczliwie. Nawoływania te biegły z ciemni i nieskończoności ku okrętowi.

Majtkowie słysząc takie gwary mówią, że to burza zwołuje z piekiel wiatry.

Jakoż zapowiedzi coraz były wyraźniejsze. Kapitan, odziany w gumowy płaszcz z kapturem, stanął na wyższym pomoście; oficer zajął swe zwykłe miejsce przed oświetlonym kompasem. Na pokładzie nie było już nikogo z podróżnych. Wawrzon z Marysią zeszli także do wspólnej sali pod pokładem. Panowała w niej cisza. Światła lamp umocowanych w bardzo niskim sklepieniu oświetlały ponurym światłem wnętrze i gromadki emigrantów, siedzące wedle łóżek przy ścianach. Sala była duża, ale posępna, jak zwykle sala czwartej klasy. Pułap jej schodził się prawie z bokami statku, dlatego owe łóżka na krańcach, poprzedzielane przepierzeniami, podobniejsze były do nor ciemnych niż do łóżek, a i cała sala robiła wrażenie jednej ogromnej piwnicy. Powietrze w niej było przesycone zapachem smolnego płótna, lin okrętowych, ropy morskiej i wilgoci. Gdzie tu szukać porównania z pięknymi salonami pierwszej klasy! Przejazd choćby dwutygodniowy w takich salach zatruwa płuca niezdrowym powietrzem, powleka wodnistą bladeścią skórę na twarzy i często prowadzi za sobą skorbut. Wawrzon z dziewczyną jechali dopiero dni cztery, a jednak gdyby ktoś porównał dawną Marysię lipiniecką, zdrową, rumianą, z dzisiejszą wynędzniałą przez chorobę, ten by jej nie poznał. Stary Wawrzon też zżółkł jak wosk, ile że przez pierwsze dni nie wychodzili wcale oboje na pokład: myśleli, że nie wolno. Albo zresztą wiedzieli, co wolno, a co nie? Nie śmieli się prawie ruszyć, zresztą bali się odejść od rzeczy. Siedzieli i teraz nie tylko oni, ale i wszyscy przy swoich. Takimi węzełkami emigranckimi zarzucona była cała sala, co powiększało jej nieład i smutny widok. Pościel, ubranie, zapasy żywności, rozmaite narzędzia i naczynia blaszane, pomieszane z sobą, rozrzucone były w mniejszych i większych kupkach po całej podłodze. Na nich siedzieli emigranci, prawie sami Niemcy. Jedni żuli tytuń, inni palili fajki. Kłęby dymu odbijały się o niski pułap i układając się w długie pasma przesłaniały światło lamp. Kilkoro dzieci płakało po kątach, ale zwyczajny gwar ustał, bo mgła przejęła wszystkich jakimś smutkiem, obawą i niepokojem. Doświadczęsi z emigrantów wiedzieli, że wróży burzę. Nikomu zresztą nie było już tajno, że niebezpieczeństwo, a może śmierć się zbliża. Wawrzon i Marysia nie mogli się w niczym zmiarkować, chociaż gdy kto drzwi na chwilę odemknął, słysząc było wyraźnie owe dalekie, złowróżbne głosy, idące z nieskończoności.

Siedzieli oboje w głębi sali, w najwęższym jej miejscu. Zatem niedaleko dzioba. Kołysanie było tam bardzo dokuczliwe, więc tam wepchnęli ich towarzysze podróży. Stary posilał się chlebem jeszcze lipińskim, a dziewczyna, której przykrzyło się nic nie robić, zaplatała sobie na noc włosy.

Powoli jednak milczenie ogólne, przerywane tylko płaczem dzieci zaczęło ją dziwić.

– Czemu to Niemcy tak dziś cicho siedzą? – spytała.

– Czy ja wiem! – odpowiedział jak zwykle Wawrzon – musi to u nich święto jakie albo co...

Nagle statek wstrząsnął się silnie, zupełnie jakby się wzdrygnął przed czymś strasznym. Naczynia blaszane leżące koło siebie zadźwięczały posepnie, płomienie w lampach podskoczyły i błysnęły mocniej, kilka wystraszonych głosów poczęło pytać:

– Co to jest? Co to jest?

Ale nie było odpowiedzi. Drugie wstrząśnienie, silniejsze od pierwszego, szarpnęło statkiem; dziób jego podniósł się nagle i równie nagle zniżył, a jednocześnie fala głucho uderzyła w okrągłe okienka jednego boku.

– Burza idzie! – szepnęła przestraszonym głosem Marysia.

Tymczasem zaszumiało coś koło statku, jak bór, którym wichur nagle pożenie, zawył, jakby stado wilków ryknęło. Wiatr uderzył raz i drugi, położył statek bokiem, a później okręcił nim naokoło, porwał go w górę i cisnął nim w otchłanie. Wiązania poczęły skrzypieć, blaszane naczynia, węzłki z rzeczami, tłumoki i narzędzia latały po podłodze, przewalane z kąta w kąt. Kilku ludzi padło na ziemię; pierze z poduszek jęło latać po powietrzu, a szkła w lampach zadźwięczały smutnie.

Rozległ się szum, łoskot, chlupotanie wody przelewającej się przez pokład, targanina statku, krzyk kobiet i płacz dzieci, gonitwa za rzeczami, a wśród tego zamieszania i chaosu słyhać było tylko przeraźliwy świst piszczałek i od czasu do czasu głucho tupotanie majtków biegnących po górnym pokładzie.

– Panienko Częstochowska! – szeptała Marysia.

Dziób okrętu, w którym oboje byli umieszczeni, wzlatywał w górę, a potem spadał jak szalony. Mimo iż trzymali się krawędzi tapczanów, rzucało nimi tak, że chwilami uderzali o ściany. Ryk fal powiększał się, a skrzypienie pułapu stało się tak przeraźliwe, iż zdawało się, że lada chwila belki i deski pękną z trzaskiem.

– Trzymaj się, Maryś! – krzyczał Wawrzon, aby przekrzyczeć huk burzy, ale wkrótce trwoga ścisnęła za gardło i jego, i innych. Dzieci przestały płakać, kobiety krzyczeć; wszystkie piersi oddychały tylko pośpiesznie, a ręce z wysileniem trzymały się różnych nieruchomych przedmiotów.

Wściekłość burzy rosła ciągle. Rozpętały się żywioły, mgła pomieszała się z ciemnością, chmury z wodą, wicher z pianą; fale biły o statek jak z armat i rzucały nim na prawo, w lewo i od chmur aż do dna morskiego. Chwilami spienione grzywy bałwanów przechodziły całą jego długość; olbrzymie masy wody wrzały jednym straszliwym zamiętem.

Olejne lampy zaczęły w sali gasnąć. Robiło się coraz ciemniej, więc Wawrzynowi i Marysi zdawało się, że to już przychodzi ciemność śmierci.

– Maryś! – począł chłop przerywanym głosem, bo mu oddechu brakło – Maryś, odpuść mi, zem cię na zgubę podał. Już nasza ostatnia godzina nadeszła. Nie będziewa my grzesznymi oczyma świata oglądali. Ni nam spowiedź, ni nam pomazanie, ni nam w ziemi leżeć, ino z wody na straszny sąd iść, niebogo.

A gdy tak mówił, Marysia zrozumiała, że nie ma już ratunku. Myśli różne przelatywały jej przez głowę, a w duszy krzyczało coś:

– Jaśku, Jaśku serdeczny, czy ty mnie słyszysz w Lipińcach?!

I żal okrutny ścisnął jej serce tak, że poczęła szlochać głośno. Szlochania rozlegały się w tej sali, gdzie wszyscy ludzie milczeli jakby na pogrzebie jakim.. Jeden głos krzyknął z kąta: „Still!”, ale umilkł, jakby przestraszony własnym dźwiękiem. Tymczasem szkło lampy znowu upadło na ziemię, a płomień zgasł. Zrobiło się jeszcze ciemniej. Ludzie zbijali się w jeden kąt, by być bliżej siebie. Trwoga milczenia panowała wszędzie, gdy nagle wśród ciszy rozległ się głos Wawrzona:

– Kirie elejzon.

– Chryste elejzon – odpowiedziała łkając Marysia.

– Chryste, wysłuchaj nas!

– Ojczy z nieba, Boże, zmiłuj się nad nami! – Mówili oboje litanie. W ciemnej sali głos starego i przerywane łkaniem odpowiedzi dziewczyny brzmiały z dziwną uroczystością. Niektórzy z emigrantów poodkrywali głowy. Powoli płacz dziewczyny ustał, głosy stały się spokojniejsze, czystsze. Z zewnątrz do wtóru im wyła burza.

Nagle krzyk się rozległ między stojącymi bliżej wejścia. Bałwan wybił drzwi i runął na salę: woda z szelestem rozpląnęła się po wszyst-

kich kątach; kobiety poczęły wrzeszczeć i chronić się na łóżka. Zdawało się wszystkim, że to już koniec.

Po chwili wszedł oficer służbowy z latarką w rękę, cały mokry i zaczerwieniony. W kilku słowach uspokoił kobiety, że woda dostała się tylko wypadkiem, potem dodał, że ponieważ statek na pełnym morzu, niebezpieczeństwo nie jest wielkie. Jakoż upłynęła godzina, dwie. Burza srożyła się coraz wścieklej. Statek skrzypiał, zapadał nosem, osadzał pałubą, kładł się na boki, ale nie tonał. Ludzie uspokoiłi się po trochu; niektórzy poszli spać. Upłynęło znów kilka godzin; do ciemnej sali przez górne okratowane okno poczęło się wdzierać szare światło. Dzień robił się na oceanie blady, jakby przestraszony, smutny, ciemny; ale przynosił jakąś otuchę i nadzieję. Odmówiwszy wszystkie modlitwy, jakie umieli na pamięć, Wawrzon i Marysia wczołgnęli się na swoje tapczany i usnęli głęboko.

Przebudził ich dopiero głos dzwonka wzywający na śniadanie. Ale nie mogli jeść. Głowy ciążyły im jakby ołowiem; stary jednak czuł się jeszcze gorzej od dziewczyny. W jego skostniałej głowie nie mogło się teraz nic pomieścić. Niemiec, który do Ameryki namawiał, mówił mu wprawdzie, że trzeba jechać przez wodę, ale on nigdy nie myślał, żeby przez tak wielką, że przez tyle dni i nocy. Myślał, że promem przejedzie, jako już nieraz w życiu przejeżdżał. Gdyby był wiedział, że morze tak ogromne, byłby został w Lipińcach. Prócz tego jeszcze jedna myśl kołatała się w nim niespokojnie: oto czy duszy swojej i dziewczyninej na zatracenie nie podawał, czy to nie grzech dla katolika z Lipiniec kusić Pana Boga i puszczać się na takie odmęty, przez które trzeba było już piąty dzień jechać do drugiego brzegu, jeśli w ogóle istniał jaki brzeg z drugiej strony? Wątpliwości jego i strach miały jeszcze rosnać przez dni siedem; sama burza szalała jeszcze przez czterdzieści osiem godzin, potem jakoś się przetarło. Ośmielili się znów wyjść z Marysią na pokład, ale gdy ujrzeli zwały wody rozkołysanej jeszcze, czarnej i jakby rozzłoszczonej, owe góry mokre ciągnące na statek i bezdenne ruchome doliny, znowu pomyśleli, że ich chyba ręka Boża albo inna jaka siła, a nie moc ludzka, z tych przepaści wyratuje.

Wypogodziło się wreszcie zupełnie. Ale upływał dzień za dniem, a przed statkiem ciągle widać było tylko toń i toń bez końca, czasem zieloną, czasem błękitną, zlewającą się z niebem. Po onym niebie przelatywały chwilami wysoko małe jasne chmury, które poczerwieniawszy wieczorem kładły się spać na dalekim zachodzie. Okręt gonił za nimi

wodą. Wawrzon naprawdę pomyślał, że chyba morze nie kończy się wcale, ale zebrał odwagę i postanowił się pytać.

Razu jednego zdjął rogatą czapkę i podjawszy nią pokornie pod nogi przechodzącego majtka rzekł:

– Wielmożny panie, a prędko dobijewa do przewozu?

O dziwo! Majtek nie parsknął śmiechem, ale stanął i słuchał. Na posiekanej wiatrem i czerwonej twarzy jego znać było pracę pamięci jakichś wspomnień, które nie mogły od razu w świadomą myśl się ułożyć... Po chwili spytał:

– Was?

– Prędko dobijewa do lądu, wielmożny panie?

– Dwa dni! dwa dni! – powtarzał z trudnością marynarz, pokazując jednocześnie dwa palce.

– Dziękuję pokornie.

– Skąd wy?

– Z Lipiniec.

– *Was ist das Lipiniec?*

Maryś, która nadeszła w czasie rozmowy, zarumieniła się okrutnie, ale podniósłszy nieśmiało na majtka oczy, rzekła cienkim głosikiem, jako mówią dziewczki wiejskie:

– My spod Poznania, proszę pana...

Majtek począł spoglądać w zamyśleniu na mosiężny gwóźdź łączący burty; potem spojrział na dziewczynę, na jej jasną jak len głowę i coś, niby rozrzewnienie, wybiło się na jego popekaną twarz.

Po chwili rzekł poważnie:

– Ja byłem w Gdańsku... rozumiem po polsku... Ja Kaszuba... wasz *Bruder*, ale to dawno!... *Jetzt ich bin Deutsch...*

To rzekłszy, podniósł koniec linki, którą poprzednio trzymał w ręku, odwrócił się i wykrzyknawszy po marynarsku „ho! ho! o!”, począł ją ciągnąć...

Odtąd, ilekroć Wawrzon z Marysią byli na pokładzie, ujrawszy ich uśmiechał się do Marysi przyjaźnie. Oni też radowali się bardzo, bo przecież mieli jakąś żywą duszę przychylną na tym niemieckim okręcie. Zresztą droga nie miała już trwać długo. Drugiego dnia rankiem, gdy wyszli na pokład, dziwny widok uderzył ich oczy. Oto ujrzeli z dala coś kołyszącego się na morzu, a gdy statek zbliżył się do tego przedmiotu, rozpoznali, że to była wielka czerwona beczka, którą fale poruszały łagodnie: w dali czerniała druga taka, trzecia i czwarta. Powietrze i woda były trochę zamglone, ale niezbyt, przy tym srebrne i

łagodne, toń gładka, nie szumiąca, ale jak okiem sięgnął, coraz więcej beczek kołysało się na wodzie. Ptactwa też białego z czarnymi skrzydłami chmary całe leciały za statkiem z piskiem i krzykiem. Na pokładzie panował ruch niezwykły. Majtkowie przywdziali nowe kaftany; jedni myli pokład, inni czyścili mosiężne spojenia burt i okien, na maszcie wywieszono jedną chorągiew, a na tyle statku drugą, większą.

Ożywienie i radość ogarnęły wszystkich podróżnych. Co tylko żyło, wybiegło na pokład; niektórzy przynosili na wierzch tłumoki i poczęli na nich pasy przyciągać.

Widząc to wszystko Marysia rzekła:

– Pewnikiem dobiejewa do lądu.

Duch lepszy wstąpił w nią i w Wawrzona. Aż tu na zachodzie pokazała się naprzód wyspa Sandy-Hok i druga z wielkim gmachem, stojącym w pośrodku, a w dali niby zgęstniała mgła, niby chmura, niby dymy jakieś pasmami po morzu rozwleczone, niewyraźne, dalekie, zmaćcone, bezkształtne... Na ich widok powstał gwar wielki; wszyscy wskazywali je rękoma, statek też zaświstał przeraźliwie, jakby z radości.

– Co to jest? – spytał Wawrzon.

– Nowy Jork – odrzekł stojący obok Kaszuba.

Wtem owe dymy poczęły jakby rozstępować się i ginąć, a na ich tle, w miarę jak okręt pruł srebrną wodę, występowały zarysy domów, dachów, kominów; śpiczaste wieże rysowały się coraz wyraźniej na błękitcie, obok wież wysokie kominy fabryczne, nad kominami słupy dymów, rozwiane w puszyste kiście na górze. Na dole przed miastem las masztów, a na ich szczytach tysiące pstrych chorągiewek, którymi powiew morski migotał jakby kwiatami na łące. Okręt zbliżał się i zbliżał, śliczne miasto wynurzyło się jakby spod wody. Wielka radość i zdumienie ogarnęły wówczas Wawrzona; czapkę zdjął, usta otworzył i patrzył, patrzył, a potem do dziewczyny:

– Maryś!

– O dlaboga!

– Widzisz?

– Widzę.

– A dziwujesz się?

– Dziwuję się.

Wawrzon jednak nie tylko już podziwiał, ale łaknął. Widząc zielone brzegi po obydwóch stronach miasta i ciemne smugi parków, mówił dalej:

– A no! Chwalić Boga! Żeby jeno dali ziemię zara kiele miasta z tą ono łączką, bliżej by było na targ. Przyjdzie jarmark: krowę pognasz, świnię pognasz, to i sprzedasz. Narodu tu widać jak maku. Ja że w Polsce chłop, a tu będę pan...

W tej chwili przepyszny „National-Park” rozwinął się przed jego oczyma w całej swej długości. Wawrzon, ujrzawszy owe grupy i bukiety drzew, rzekł znowu:

– Pokłonię się wielmożnemu komisarzowi od rządu nisko, przy mówię się zrećnie, żeby mi choć ze dwie włóki tego boru podarował, a na reszcie zbiórkę. Kiej dziedzictwo to dziedzictwo. Parobka się z drzewem rano do miasta pośle. Chwała Najwyższemu, bo widzę, że mnie Niemiec nie zdurzył...

Marysi też jakoś się państwo uśmiechało i sama nie wiedziała, czemu do głowy przyszła jej piosenka, jaką w Lipińcach panny młode na weselach panom młodym śpiewały:

Cóżeś to za pan?
Cóżeś to za pan?
Cała twoja sukienicyja
Czapka i żupan.

Czy może już miała zamiar zaśpiewać coś podobnego biednemu Jaškowi, gdy za nią przyjedzie, a ona będzie już dziedziczką? Tymczasem od kwarantanny przyleciał do okrętu mały statek. Czterech czy pięciu ludzi weszło na pokład. Zaczęły się rozmowy i nawoływania. Wkrótce drugi statek nadpłynął z samego już miasta przywożąc agentów z hotelów i boarding-housów, przewodników, ludzi wymieniających pieniądze, agentów kolejowych: wszystko to krzyczało wniebogłosy, popychało, kręciło się po całym pokładzie. Wawrzon i Marysia wpadli jakby we młyn jaki i nie wiedzieli, co począć.

Kaszuba poradził staremu, by zmienił pieniądze, i obiecał, że nie da go oszukać, więc też Wawrzon to uczynił. Za to, co miał, dostał czterdzieści siedem dolarów srebrem. Nim wszystko to się odbyło, okręt zbliżył się tak do miasta, że już widać było nie tylko domy, ale i ludzi stojących na bulwarku, potem mijał co chwila różne statki większe i mniejsze, na koniec dotarł do warfów i zsunął się w wąski dok portowy.

Podróż była skończona.

Ludzie zaczęli wysypywać się ze statku jak pszczoły z ula. Przez wąski mostek położony od burt do brzegu płynęła ich ciżba różno-

barwna: pierwsza klasa, potem druga, a podpokładowi, obładowani rzeczami, na ostatku. Gdy Wawrzon i Marysia, popychani przez tłum, zbliżyli się do otwartej burty, znaleźli przy niej i Kaszubę. Uścisnęła silnie rękę Wawrzona i rzekł:

– *Bruder, zyczę glücku!* tobie dziewczko! Bóg wam dopomóż.

– Panie Boże zapłać! – odrzekli oboje, ale nie było czasu na dłuższe pożegnanie. Ciżba popchnęła ich po pochyłym mostku i za chwilę znaleźli się w obszernym celniczym budynku.

Celnik, ubrany w szary surdut ze srebrną gwiazdą, poszczypał ich pakunki, potem krzyknął: „*All right*”, i ukazał na wyjście. Wyszli i znaleźli się na ulicy.

– Tatulu! a co będziewa robić? – spytała Marysia.

– Musiwa czekać. Niemiec powiedział, że zara tu nadejdzie od rządu komisarz i będzie się o nas pytał.

Stanęli więc pod ścianą czekając na komisarza, a tymczasem otoczył ich gwar nieznanego, ogromnego miasta. Nie widzieli nigdy nic podobnego. Ulice biegły proste, szerokie, a po ulicach tłumy ludu jakby w czasie jarmarku; środkiem karety, omnibusy, wozy ładowne. Naokół brzmiała dziwna, nieznaną mowa, rozlegały się krzyki robotników i przekupniów. Co chwila przesuwali się ludzie zupełnie czarni o wielkich kędzierzawych głowach. Na ich widok Wawrzon z Marysią żegnali się pobożnie. Dziwne jakieś wydawało się im to miasto, takie gwarne, hałaśliwe, pełne świstu lokomotyw, hurkotu wozów i nawoływań ludzkich. Wszyscy tam biegli tak prędko, jakby gonili kogoś lub przed kimś uciekali, a jakie przy tym mrowie narodu, jakie dziwne twarze; to czarne, to oliwkowe, to czerwonawe. Właśnie tam, gdzie stali, koło portu panował ruch największy; z jednych okrętów zdejmowano paki i na drugie je wkładano, wozy zajeżdżały co chwila, taczki dudniły po mostkach, rwetes i rozgardiasz panował jak w tartaku.

Upłynęła w ten sposób jedna godzina i druga; oni stojąc pod ścianą czekali na komisarza.

Dziwny widok przedstawiał na amerykańskim brzegu w Nowym Jorku ten chłop polski o długich, siwiejących włosach, w rogatej czapce z barankiem i ta dziewczyna z Lipiniec, ubrana w granatową przyjaściółkę, z paciorkami na szyi.

Ludzie jednak przechodzili koło nich nawet nie spojrzawszy. Tam nie dziwią się żadnym twarzom ani żadnym ubiorom.

Upłynęła znowu godzina. Niebo powlokło się chmurami, zaczął padać deszcz pomieszany ze śniegiem, od wody zaciągnął zimny, wilgotny wiatr...

Oni stali czekając na komisarza.

Chłopska natura była cierpliwa, ale coś im zaczęło się robić ciężko na duszy.

Samotnie im było na okręcie, wśród obcych ludzi i pustoszy wodnej źle i straszno. Modlili się do Boga, by ich przeprowadził jako zbłąkane dzieci przez morskie odmęty. Myśleli, że tylko nogą na ziemi stanąć, a skończy się ich niedola. Teraz oto przyjechali, byli wśród wielkiego miasta, ale w tym mieście wśród gwaru ludzkiego poczuli nagle, że im jeszcze samotniej i straszniej, niż było na okręcie.

Komisarz nie nadchodził. Co poczną, jeśli wcale nie nadejdzie, jeśli Niemiec ich zwiódł?

Zadygotały trwogą na tę myśl biedne chłopskie serca. Co poczną? Po prostu – zginą.

Tymczasem wiatr przejmował im odzież, deszcz ich moczył.

– Maryś, czy ci nie zimno? – spytał Wawrzon.

– Zimno, tatulu – odpowiedziała dziewczyna.

Jeszcze jedną godzinę wybiły zegary miejskie. Mroczyło się na świecie. Ruch w porcie ustawał, na ulicach zapalono latarnie: jedno morze rzęsistych świateł zapłonęło w całym mieście. Robotnicy z portu, śpiewając ochryplymi głosy: *Yankee Doodle*, ciągnęli w mniejszych i większych gromadach do miasta. Powoli bulwark opustoszał zupełnie. Budynek celniczy zamknięto.

Oni stali czekając na komisarza.

Wreszcie zapadła noc i w porcie zrobiła się cisza. Od czasu do czasu

tylko ciemne kominy statków rzucały z sykiem snopy iskier, które gasły w ciemnościach, lub zabelkotała fala uderzając o bulwark kamienny. Czasem rozległa się piosnka pijanego majtka, wracającego na okręt, światła lamp bladły we mgle. Oni czekali.

Choćby i nie chcieli czekać, dokąd mieli pójść, co począć, gdzie się obrócić, gdzie przytulić umęczone głowy? Zimno przejmowało ich coraz dotkliwiej, począł dokuczać im głód. Gdyby choć dach im nad głowę, bo przemokli do koszuli. Ach! komisarz nie przyszedł i nie przyjdzie, bo takich komisarzy wcale nie ma. Niemiec był agentem kompanii przewozowej, brał procent od sztuki i o niczym więcej nie wiedział.

Wawrzon uczył, że nogi chwieją się pod nim, że jakiś olbrzymi ciężar włacza go w ziemię, że chyba gniew Boży zawisnął nad nim.

Cierpiał i czekał, jak tylko chłop potrafi. Głos dziewczyny dygocącej od zimna obudził go jakby z odurzenia...

– Tatu!u!

– Cicho! Nie ma miłosierdzia nad nami!

– Wróćwa do Lipiniec...

– Idź się utop...

– Boże, Boże! – szeptała cicho Marysia.

Wawrzona zdjął żal.

– Sieroto, niebogo!... niechby Bóg zlitował się choć nad tobą...

Ale już go nie słyszała. Oparłszy głowę o ścianę przymknęła powieki. Przychodził sen, przerywany, ciężki, gorączkowy, a we śnie jakby obrazek w ramkach: Lipińce i coś niby piosenka Jaśka koniuchy:

Cóżeś za pani?

Cóżeś za pani?

Cała twoja sukiencyja

Wianek ruciany.

Pierwsze blaski dzienne w porcie nowojorskim padły na wodę, na maszty i na budynek celniczy.

W szarym tym świetle odróżnić było można dwie postacie śpiące pod ścianą, o wybladłych, zsiniałych twarzach, przytrząśnięte śniegiem, nieruchome, jakoby martwe. Ale w księdze ich niedoli pierwsze dopiero kartki zostały odwrócone, dalsze opowiemy następnie.

II. W NOWYM JORKU

Schodząc w Nowym Jorku z szerokiej ulicy Broadway ku portowi w kierunku Chattam-square i przeszedłszy kilkanaście ulic przyległych, podróżnik trafia na część miasta coraz biedniejszą, bardziej opuszczoną i posepną. Uliczki stają się coraz węższe. Domy, budowane może jeszcze przez osadników holenderskich, porysowały się i pokrzywiły z biegiem czasu: dachy na nich zakłęśły, tynk podpadał z murów, same zaś mury zapadły w ziemię tak, że okna suterren zaledwie górnym brzegiem wystają ponad bruk uliczny. Dziwne krzywizny zastępują tu miejsce ulubionych w Ameryce linii prostych; dachy i ściany, nie wyciągnięte pod sznur, kupią się i piętrzą jedne nad drugie rozczochraną dachówką.

Z powodu nadbrzeżnego położenia tej części miasta kałuże w wybojach ulicznych nie wysychają tu prawie nigdy, a małe, szczelnie obudowane place podobne są do sadzawek napełnionych gęstą, czarną i stojącą wodą. Okna odrapanych domów ponuro przeglądają się w tej wodzie, której plugawa powierzchnia pstrzy się strzępami papieru, tektury, kawałkami szkła, drzewa i blachy od pak okrętowych; podobnymi strzępami zarzucone są całe ulice, a raczej cała pokrywająca je warstwa błota. Wszędzie widać tu brudy, nieład i nędzę ludzką.

W tej to dzielnicy znajdują się „*boardinghousy*” czyli zajazdy, w których za dwa dolary tygodniowo można dostać nocleg i całkowite utrzymanie; tu także szynkowanie, czyli „*bar-roomy*”, w których wielorybnicy werbują wszelkiego rodzaju drapichrustów na swe statki; pokątne agencje wenezuelskie, ekwadorskie i brazylijskie, celem namawiania do kolonizacji równika i dostarczania febrze przyzwoitej liczby ofiar; garkuchnie żywiące swych gości mięsem solonym, zgniłymi ostrygami i rybami, które zapewne sama woda wyrzuca na piasek; tajne domy gry w kości, pralnie chińskie, rozmaite przytułki dla marynarzy; tu na koniec jaskinie zbrodni, nędzy, głodu, łez.

A jednak część ta miasta ruchliwa, cała bowiem emigracja, która nie znajduje chwilowego nawet pomieszczenia w koszarach Castle-Garden, a nie chce lub nie może pójść do tak zwanych „*workinghousów*”, czyli domów wyrobniczych, skupia się tu, mieszka, żyje i umiera. Z drugiej strony powiedzieć można, że jeśli emigracja jest szumowinami społeczeństw europejskich, to mieszkańcy owych zaułków są

szumowinami emigracji. Ludzie ci próżnują po części dla braku roboty, a po części z zamiłowania. Tu też nocami dość często rozlegają się rewolwerowe strzały, wołania o pomoc, ochryple krzyki wściekłości, pijackie śpiewy irlandzkie lub wycia bijących się z sobą na głowy Murzynów. Dniem co chwila całe kółka włóczęgów w obdartych kapeluszach, z fajkami w zębach przypatrują się pięściowym walkom, zakładając się przy tym od centa aż do pięciu za każde wybite oko. Dzieci białe i małe Murzynki o kręconych czuprynach zamiast spędzać czas w szkole włóczą się po ulicach, klekocąc kawałkami żeber wołowych lub szukając w błocie resztek warzywa, pomarańcz i bananów; wychudłe kobiety irlandzkie wyciągają ręce do lepiej ubranego przechodnia, jeśli się tam zabłąka.

W takiej gehennie ludzkiej odnajdujemy dawnych znajomych naszych: Wawrzona Toporka i córkę jego, Marysię. Dziedzictwo, którego się spodziewali, było snem i jak sen pierzchło, a rzeczywistość przedstawia się nam oto w kształcie ciasnej izby, zaklęśniętej w ziemi, o jednym oknie z powybijanymi szybami. Na ścianach izby czernieje plugawa pleśń i smugi wilgoci; przy ścianie stoi zardzewiały i dziurawy piecyk żelazny i stołek o trzech nogach; w kącie trochę słomy jęczmiennej zastępuje łóżko.

To wszystko. Stary Wawrzon klęcząc przed piecykiem szuka, czy w wygasłym popiele nie schował się gdzie jaki kartofel i do tego szukania wraca co chwila nadaremnie już... drugi dzień; Marysia zaś siedzi na słomie i otoczywszy rękoma kolana patrzy nieruchomie w podłogę. Dziewczyna chora jest i wynędzniała. Ta sama to niby Marysia, ale jej rumiane niegdyś policzki zapadły głęboko, cera stała się blada i chorobliwa, cała twarz jakby drobniejsza niż dawniej, a oczy wielkie i zapatrzone. Znać na jej twarzy wpływ zgniłego powietrza, zgryzot i nędznego pożywienia. Żywili się tylko kartoflami, ale od dwóch dni już i kartofli zabrakło. Wcale teraz nie wiedzą, co robić będą i czym żyć dalej. Trzeci miesiąc upływa, jak mieszkają na bruku i siedzą w tej jamie, więc pieniędzy zabrakło. Stary Wawrzon próbował o robotę pytać, ale nie zrozumiano nawet, czego chce; chodził do portu dźwigać pakunki i ładować węgiel na okręty, ale nie miał tacek, a zresztą Irlandczycy podbili mu zaraz oczy; chciał się z siekierą do budowy doków przyczepić, podbito mu znowu oczy. Przy tym co to za robotnik, który nie pojmuje, co do niego mówią!/? Gdzie wetknął ręce, do czego chciał się wziąć, dokąd się udał, wyśmiewano go, odpychano, potrącano, bito; więc nic nie znalazł, znikąd grosza nie mógł zarobić ani wyprosić.

Włosy zbielały mu ze zgryzoty, wyczerpała się nadzieja, skończyły się pieniądze, a zaczynał się głód.

W kraju, między swoimi, gdyby i stracił wszystko, gdyby znękała go choroba, gdyby dzieci wyгнаły go z chałupy, to... kosztur by mu tylko wziąć do ręki, stanąć pod krzyżem na rozdrożu albo przy drzwiach jakiego kościoła i śpiewać: „Boże łaskawy, przyjmij płacz krwawy”. Pan by przejechał, dałby dziesiątkę; pani z powozu dziecko by wysłała z pieniądzem w różanej rączce i z wielkimi wpatrzonymi w dziada oczyma; chłop by pół bochenka chleba dał, baba szperkę i można by żyć, choćby jak ptak, który ani sieje, ani orze. Przy tym jakby tak pod krzyżem stał, miałby nad sobą jego ramiona, w górze niebo, a nokoło pola i w onej ciszy wiejskiej Pan Bóg usłyszałby jego śpiewanie. A tu w tym mieście huczało coś tak strasznie, jakby w jakiejś wielkiej maszynie, tak każdy rwał się naprzód, tak patrzył tylko przed siebie, że cudzej niedoli nikt nie dojrzał. Tu głowę zawrót po prostu brał, ręce opadały, oczy nie mogły pomieścić wszystkiego, co w nie lazło, a myśl jedna drugiej dogonić. Tu wszystko było jakieś dziwne, obce, odtrącające i takie rozpędzone, że każdy, co się nie umiał w tym wirze kręcić, musiał wylecieć z koliska i rozbić się siłą pędu jako gliniany garnek.

– Hej! co za różnica! Oto w spokojnych Lipińcach Wawrzon był gospodarzem i ławnikiem, kolonię miał, szacunek ludzki, pewną łyżkę strawy każdego dnia, w niedzielę przed ołtarz ze świecą wychodził; a tu był ostatni między wszystkimi, był jak pies przybłąda na cudzym podwórku, nieśmiały, drżący, skulony i zgłodniały. W początkowych dniach niedoli często wspomnienia mówiły: „Lepiej ci było w Lipińcach”. Sumienie krzyczało: „Wawrzon, czemuś opuścił Lipińce?” Czemu? Bo go Bóg opuścił. Niósłby chłop swój krzyż, cierpiałby, gdyby przed nim był gdzieś koniec onej drogi krzyżowej; wiedział jednak dobrze, że każdy dzień będzie coraz sroższym dopustem i każdego ranka słońce coraz większą nędzę jego i dziewczyniną oświeci. Więc co? Ma-li ukrećć powróż, zmówić pacierz i powiesić się? Chłop nie mruży oczu przed śmiercią, ale co się stanie z dziewczyną? Gdy o tym wszystkim myślał, to czuł, że go nie tylko Bóg opuścił, ale i rozum opuszcza. Nie było żadnego światła w tej ciemności, którą przed sobą widział, a największego bólu nawet nazwać nie umiał.

Tym największym była tęsknota za Lipińcami. Dręczyła go dniem i nocą, a dręczyła tym straszniej, że nie wiedział, co to jest, czego mu trzeba, do czego się dusza w nim chłopska rwie i wije z męki: a jemu potrzeba było boru sosnowego, pól i chałup słomą krytych, i panów, i

chłopów, i księży, i tego wszystkiego, nad czym się szmat rodzinnego nieba zwiesza, a do czego jak serce przywrze, to się nie oderwie, a oderwie się, to się krwawi. Chłop czuł, że go coś jak w ziemię wgniata. Chwilami rad by był się porwać za włosy i głową tłuc o mur albo rzucić się na ziemię, albo wyć jak pies na łańcuchu, albo wołać niby w obłąkaniu – kogo? – sam nie wiedział. Oto już gnie się pod tym nieznanym brzemieniem, już opada, a tu miasto obce huczy i huczy; on jęczy i wzywa Jezusa, a tu krzyża nigdzie nie ma, nikt nie odpowiada, tylko miasto huczy i huczy, a na tapczanie siedzi dziewczyna z oczyma wpatrzonymi w ziemię, zgłodniała i cierpi cicho. Dziwna rzecz! Siedzieli z dziewczyną ciągle razem i często po całych dniach jedno ani słowem nie ozwało się do drugiego. Żyli jakby w urazie wielkiej. Źle i ciężko im było tak żyć, ale o czymże mieli mówić? Ran jątrzących się lepiej nie tykać. Chyba o tym, że nie ma już ani pieniędzy w kieszeni, ani kartofli w piecu, ani rady w głowie.

Pomocy też nie doznali od nikogo. Polaków żyje w Nowym Jorku bardzo wielu, ale zamożniejszy nikt nie mieszka w okolicach Chatter-square. W drugim tygodniu po przybyciu poznali wprawdzie dwie rodziny polskie, jedną ze Śląska, drugą spod samego Poznania, ale i one już od dawna głodem marły. Ślązakom umarło już dwoje dzieci, trzecie było chore, a jednak od dwóch tygodni już sypiało wraz z rodzicami pod arkadą mostu, wszyscy zaś żywili się tylko tym, co na ulicach znaleźli. Później też wzięto ich do szpitali i nie wiadomo, co się z nimi stało. Drugiej rodzinie również źle się działo, a nawet gorzej jeszcze, bo ojciec pił. Marysia ratowała kobietę, póki mogła, ale teraz sama potrzebowała poratowania.

Mogli wprawdzie oboje z ojcem, udać się do kościoła polskiego do Hoboken. Ksiądz by przynajmniej dał innym o nich znać, lecz albo wiedzieli, czy jest jaki kościół lub jaki polski ksiądz, albo mogli się z kim rozmówić, kogoś zapytać? W ten sposób każdy wydany cent był dla nich jakby stopniem po schodach prowadzących w otchłań nędzy.

Siedzieli w tej chwili, on przy piecyku, ona na słomie. Upłynęła jedna godzina i druga. W izbie robiło się coraz ciemniej, bo choć to było w południe, ale mgła wstawała z wody jako zwyczajnie wiosenną porą, mgła ciężka, przejmująca. Mimo że na dworze było już ciepło, oboje drżeli w izbie od chłodu; wreszcie Wawrzon stracił nadzieję, żeby co znalazło się w popiele.

– Maryś! – rzekł – nie mogę już wytrzymać i ty nie wytrzymasz; pójdę nad wodę drzewa nałapać; napaliwa choć w piecu, a może znajdę co zjeść.

Nie odrzekła nic, więc poszedł. Nauczył się już chodzić do portu i wylawiać kawałki desek od pak i skrzyń okrętowych, które woda na brzeg wyrzuca. Tak robią wszyscy, którzy nie mają za co węgla kupić. Często go tam poszturchali przy tym połowie, ale często nie; czasem trafiało się znaleźć i co do zjedzenia, jakie resztki zepsutego warzywa, wyrzucanego ze statków, a przy tym, gdy ot, chodził tak we mgle i szukał, czego nie zgubił, to chwilami zapominał o swej niedoli i o tej tęsknocie, która go najbardziej ze wszystkiego trawiła. Przeszedł wreszcie nad wodę, a że to była pora „lunchu”, więc nad brzegiem kręciło się tylko kilku małych chłopaków, którzy zaczęli wprawdzie zaraz krzyczeć na niego, rzucać czarnym błotem i muszlami, ale nie mogli go obić. Deszczulek różnych kołysało się sporo na wodzie: jedna fala je przynosiła, druga odnosiła na głębiej. Wkrótce nałapał ich dosyć.

Chwiały się także kupki jakiejś zieloności na fali; może było w nich i co do zjedzenia, ale jako lżejsze, nie przyplływały do brzegu, więc ich nie mógł dostać. Chłopaki rzucali na nie sznury i w ten sposób przyciągali je do siebie; on, że sznura nie miał, więc tylko patrzył chciwie, czekał, aż chłopcy odejdą i przeszukiwał resztki jeszcze raz, zjadając, co mu się zdatne do zjedzenia wydało. O tym, że dziewczyna także nie jadła, nie myślał.

Ale los miał mu się uśmiechnąć. Wracając do domu spotkał wielki wóz z kartoflami, który w drodze do portu ugrzązł w wyboju i nie mógł się ruszyć. Wawrzon schwycił zaraz za szprychy i zaczął z woźnicą pchać koła. Ciężko było, aż go w krzyżach zabolalo, ale wreszcie konie szarpnęły, wóz wyskoczył, a że był czubiasto ładowny, wysypało się z niego sporo kartofli i wpadło w błoto. Woźnica ani myślał ich zbierać, podziękował Wawrzonowi za pomoc, krzyknął „*get up!*” na konie i pojechał.

Wawrzon rzucił się natychmiast na kartofle, pozbierał je łapczywie drżącymi rękoma, schował w zanadrzu i zaraz lepsza otucha wstąpiła mu w serce. W głodzie znaleziony kawałek chleba znalezionym szczęściem się wydaje; więc chłop wracając do domu mruczał cicho:

– A no, Bogu najwyższemu niech będą dzięki, że wejrzał na niedolę naszą. Drzewo jest, dziewczyna ogień rozpali; gajdoków je tyła, że na dwa razy wstrzyma. Pan Bóg je miłosierny. W izbie zaraz zrobi się

rażniej. Dziewczyna też półtora dnia nie jadła, to się uraduje. Pan Bóg je miłosierny!

Tak rozprawiając, dźwigał jedną ręką deski, drugą badał co chwila, czy kartofle nie wypadają mu z zanadru. Skarb niósł wielki, więc podnosił oczy z wdzięcznością ku niebu i znowu mruczał:

– Myślałem se: ukradnę – a tu bez kradzenia z wozu spadło. Nie jedliśwa, to będziwa jedli. Pan Bóg je miłosierny! Maryśka zaraz ze słomy wstanie, jak się dowie, że mam gajdoki.

Tymczasem Marysia od czasu jego wyjścia nie ruszała się ze słomy. Bywało, że jak Wawrzon przynosił rano drzewa, to napaliła w piecyku, przyniosła wody, zjadła, co było, a potem całymi godzinami wpatrywała się w ogień. Szukała i ona w swoim czasie roboty. Najęto ją nawet do jednego boardinghousu do pomywania garnków i zamiatania, ale że się nie mogli z nią rozmówić, że źle spełniała polecenia nie rozumiejąc ich, więc ją wypędzili we dwa dni. Potem niczego już nie szukała i nic nie znalazła. Po całych dniach siadywała w domu bojąc się wyjść na ulicę, bo tam ją zaczepiali Irlandczycy i pijani majtkowie. Przez to próżnowanie była jeszcze nieszczęśliwsza. Tęsknota zgryzła ją jak rdza żelazo. Była nawet nieszczęśliwsza od Wawrzona, gdyż do głodu, do tych wszystkich utrapień, jakie znosiła, do tego przekonania, że nie ma dla nich rady ani ratunku, ani jutra, do strasznej tęsknoty za Lipińcami dorzucała jeszcze ciężaru myśl o Jaśku koniusze. Ślubował on jej wprawdzie i mówił: „Gdzie ty się obrócisz i ja się obrócę”, ale ona jechała wtedy dziedziczką i panią być, a teraz jakże zmieniło się wszystko!

On był parobkiem dworskim, miał i swoją kolonię po ojcach, a ona stała się taką biedną, taką głodną jak mysz w lipinieckim kościele. Czy przyjedzie? a choćby i przyjechał, to przygarnieli ją do piersi? powieli: „Chudzątko moje serdeczne?” Czy też: „Idź precz, dziadowa córko!” Jakież to teraz jej wiano, Łachmany. Psy by na nią i w Lipińcach czekały, a jednak tak tam coś ciągnie, że ot! dusza rada by wylecieć z niej i lecieć jaskółką chybką nad wodami i choćby umrzeć, byle tam. Tam on, Jaśko, pamiętny czy niepamiętny, ale umiłowany bardzo; tylko przy nim byłby spokój i radość, i wesele, ze wszystkich ludzi przy nim jednym w świecie.

Gdy ogień w piecyku był i głód nie tak, jak dziś dokuczał, to płomienie sycząc, strzelając iskrami, podskakując, migocąc mówiły dziewczynie o Lipińcach i przypominały, jako dawniej z innymi dziewczynami siadywała w czworakach przy kądzieli. Jaśko wygląda-

jąc z alkierza wołał: „Maryś! pójdźwiera do księdza, boś mi miła!” Ona mu zaś odpowiadała: „Cichaj, zboreźniku!” I tak jej było dobrze, tak wesoło w duszy, jak i wówczas, gdy on ją do tańca z kąta na środek izby przemocą ciągnął, a ona zasłoniwszy oczy rękoma szeptała: „Idźże precz, bo się wstydam!” Gdy jej to czasem przypominały płomienie, to łzy zalewały jej twarz; ale teraz jak ognia w piecyku, tak i łez w oczach nie było, bo ile łez miała, tyle wypłakała. Czasem jej się też zdało, że spływają do piersi i tam ją duszą. Czuła zmęczenie wielkie i wyczerpanie, brakło jej siły nawet do rozmyślań; ale zresztą cierpiała pokornie patrząc tylko przed siebie wielkimi oczyma, jak ptak, którego męczą. W ten sposób spoglądała i teraz siedząc na słomie. Tymczasem ruszył ktoś drzwiami od izby. Marysia w mniemaniu, że to ojciec, nie podniosła głowy, dopiero obcy głos ozwał się:

– *Look here!*

Był to właściciel rudery, w której mieszkali, stary mulat o twarzy posępnej, brudny, obdarty z policzkami wypchanymi tytuniem.

Ujrzawszy go dziewczyna zlekła się bardzo. Powinni byli zapłacić dolara na następny tydzień, a nie mieli już ani centa. Mogła tylko pokorą nadrobić, więc zbliżywszy się ku niemu podjęła go cicho pod nogi i pocałowała w rękę.

– Przychodzę po dolara! – rzekł.

Zrozumiała wyraz „dolar” i potrząsając głową, mieszając wyrazy, a zarazem patrząc błagalnie, starała się dać do zrozumienia, że już wydali wszystko, że drugi dzień nic nie jedzą, że są głodni i żeby zmiłował się nad nimi.

– Bóg wielmożnemu panu zapłaci – dodała po polsku, nie wiedząc już, co mówić i robić.

Wielmożny pan nie rozumiał wprawdzie, że jest wielmożnym, ale domyślił się, że dolara nie dostanie; domyślił się nawet tak dobrze, że pozbierawszy jedną ręką węzełki z ich rzeczami, drugą wziął dziewczynę za ramię, popchnął lekko w górę na schody, wyprowadził na ulicę i rzuciwszy jej pod nogi rzeczy, potem z równą flegmą uchylił drzwi przyległego szynku i zawołał:

– Hej, Paddy, jest izba dla ciebie.

– *All right!* – odpowiedział jakiś głos ze środka – przyjdę na noc.

Mulat zniknął następnie w ciemnej sieni, a dziewczyna została sama na ulicy. Ułożyła węzełki we framudze domu, by się nie walały w błocie i stanąwszy przy nich czekała pokorna jak zawsze i cicha.

Pijani Irlandczycy, którzy przechodzili ulicą, nie zaczepiali jej tym razem. W izbie było ciemno, ale na ulicy widno bardzo i przy tym świetle twarz dziewczyny wydawała się wynędzniała, jakby po wielkiej jakiej chorobie. Tylko jasne lniane włosy pozostały jak dawniej, wargi za to miała zsiniałe, oczy wpadłe i podkute, kości wystawały jej z policzków. Wyglądała jak kwiat, który więdnie, albo jak dziewczyna, która ma umrzeć.

Przechodzący spoglądali na nią z pewnym rodzajem politowania. Stara Murzynka zapytała ją o coś, ale nie otrzymawszy odpowiedzi poszła dalej urażona.

Tymczasem Wawrzon zdążył do domu z tym dobrym uczuciem, jakie w bardzo biednych ludziach budzi jawny dowód miłosierdzia Bózego. Miał oto kartofle; myślał, jak będą jedli, jak jutro znów będzie chodził koło wozów, a o pojutrze nie myślał w tej chwili, bo był zbyt głodny. Ujrawszy z daleka dziewczynę stojącą na bruku przed domem, zdziwił się mocno i przyśpieszył jeszcze kroku.

- A ty tu czego stoisz?
- Gospodarz wygnał nas, tatulu!
- Wygnał!?

Drzewo chłopu wypadło z rąk. Tego już było nadto. Wygnać ich w tej chwili, gdy było drzewo i kartofle! Co teraz zrobią, gdzie je upieką, czym się pożywią, dokąd pójdą? Za drzewem grzmotnął Wawrzon i czapkę w błoto.

– Jezu! Jezu! – okręcił się naokoło, otworzył usta, spojrzał błędnie na dziewczynę i powtórzył jeszcze raz:

- Wygnał?...

Potem niby chciał gdzieś iść, ale zawrócił zaraz, a głos jego stał się głuchy, chrapliwy i groźny, gdy rzekł znowu:

- Czemuś go nie prosiła, ciemiego?

Ona westchnęła:

- Prosiłam.
- Pod nogi go podjęłaś?
- Podjęłam.

Wawrzon znowu okręcił się na miejscu jak robak którego, ktoś przekłuje. Zrobiło mu się w oczach ciemno zupełnie.

- Bogdajeś zmarniała! – krzyknął.

Dziewczyna spojrzała na niego boleśnie.

- Tatulu! cóżem ja winna?

– Stój no tu, ani się rusz. Pójdę ja go prosić, żeby choć gajdoki dał upiec.

Poszedł. Po chwili w sieni dał się słyszeć hałas, tupotanie nóg, podniesione głosy, a potem na ulicę wyleciał Wawrzon, pchnięty widocznie silną ręką.

Chwilkę stał, potem rzekł do dziewczyny krótko:

– Pójdź!

Schyliła się po węzełki, by je zabrać. Były dość ciężkie jak na jej wyczerpane siły, ale on jej nie pomógł jakby, zapominał, jakby nie wiedział, że dziewczyna zaledwie je udźwignąć może.

Poszli... Dwie tak nędzne postacie starca i dziewczyny zwracałyby uwagę przechodniów, gdyby ci przechodnie mniej byli przyzwyczajeni do widoków nędzy. Dokąd mogli iść? W jaką jeszcze ciemność, w jaką jeszcze niedolę, w jaką jeszcze mękę?

Oddech dziewczyny stawał się coraz trudniejszy, cięższy; zachwiała się na nogach raz i drugi, wreszcie rzekła z prośbą w głosie:

– Tatulu! weźta szmaty, bo już nie mogę.

On jakby się zbudził ze snu.

– To je rzuć.

– Dyc się przydadzą.

– Nie przydadzą się.

Nagle ujrawszy, że dziewczyna się waha, krzyknął z wściekłością:

– Rzuć, bo cię zabiję!

Tym razem usłuchała przestraszona i poszli dalej. Chłop kilka razy powtórzył jeszcze: „Kiej tak, to niech tak będzie!” – potem umilkł, ale coś niedobrego patrzyło mu z oczu. Przez coraz błotnistsze uliczki zbliżali się ku krańcowi portu, wydostali się na wielkie pomosty oparte na palach; przeszli około budynku z napisem: „Sailor's asilum”, i zeszli nad samą wodę. Budowano w tym miejscu nowy dok. Wysokie rusztowania do zapuszczania palów wysuwały się daleko nad wodę, a między deskami i belkami kręcili się ludzie zajęci przy budowie. Marysia doszedłszy do kupy belek siadła na niej, bo nie mogła iść dalej, Wawrzon w milczeniu koło niej.

Godzina już była czwarta po południu. Cały port wrzał życiem i ruchem. Mgła też opadła, a pogodne promienie słońca obrzucały światłem i miłosiernym ciepłem dwoje nędzarzy. Z wody szło tchnienie wiosny na ląd, rzeźwe pełne życia, wesołe. Naokoło tyle było błękitu i światła, że aż oczy mrużyły się pod ich nadmiarem. Toń morska w dali zlewała się wdzięcznie z niebem. W tych błękitach bliżej środka portu

widać było sterczące spokojnie maszty, kominy i chorągiewki falujące lekko od powiewu. Na widnokręgu okręty płynące do portu zdawały się iść jakby w górę lub jakby spod wody wysuwać. Porozpinane i wydęte ich żagle w kształcie chmurek, całe w promieniach, lśniły oslepiającą białością na lazurze wodnym. Inne statki odchodziły na ocean, pieniąc za sobą wodę. Szły w stronę, gdzie leżały Lipińce, więc dla nich dwojga utracone szczęście, więc dola lepsza, więc uspokojenie. Myślała też sobie dziewczyna, czym mogli tak bardzo zgrzeszyć, co przeciw Panu Bogu uczynić, że On, taki miłościw, od nich samych tylko odwrócił oblicze swoje i zapomniał o nich wśród obcych ludzi, i rzucił ich na ten brzeg daleki. Toć w Jego ręku było im wrócić szczęście. Tyle przecie statków odpływa w tamtą stronę, a odpływa bez nich. Zmęczona, biedna myśl Marysi jeszcze raz poleciała w stronę Lipiniec i Jaśka koniuchy. Czy tam myśli o niej, czy o niej pamięta? Ona pamięta, bo w szczęściu się tylko zapomina, w niedoli zasię, w osamotnieniu myśl tak obwija się koło ukochanych jak chmiel koło topoli. Ale on? Może pogardził dawnym ukochaniem i swaty już posłał do innej chałupy. Przecie by mu nawet wstyd było myśleć o takiej nędzarce, która prócz wianka, prócz rucianego, nic nie ma na świecie i po którą, jeśli kto przyśle swaty, to chyba śmierć.

Ponieważ była chora, więc głód nie dokuczał jej bardzo, ale z męki i osłabienia sen ją ogarniał, powieki zamykały się na oczach, a wyblądła twarz chyliła się na piersi. Chwilami budziła się i otwierała oczy, potem przymykała je znowu. Śniło się jej, że błądząc po jakichś rozpadlinach i przepaściach wpadła, jak owa Kasia z chłopskiej piosenki, w „Dunajec głęboki” i zaraz usłyszała wyraźnie jakby dalsze śpiewanie:

Zaboczył to Jaśko na wysokiej górze,
Spuścił się do Maryś po jedwabnym sznurze;
Ale sznur był krótki, z łokieć go nie staje:
Marysia nieboga warkocza dodaje.

Tu nagle zbudziła się, bo zdało się jej, że warkocza już nie ma i że leci w przepaść. Sen pierzchnął. Nie Jaśko siedział przy niej, ale Wawrzon, i nie „Dunajec” było widać, ale port nowojorski, warfy, rusztowania, maszty i kominy. Znowu jakieś okręty wypływały na pełnię i z nich to właśnie dochodziło śpiewanie. Cichy, ciepły, pogodny wieczór wiosenny zaczynał czerwienić się na wodzie i na niebie. Toń stała się zwierciadlana, każdy okręt, każdy pal tak odbijał, jakby drugi był pod spodem, i ślicznie było naokoło. Jakaś szczęśliwość i ukojenie

wielkie rozlane były w powietrzu: zdawało się, że cały świat się raduje, tylko ich dwoje było nieszczęsnych i zapomnianych; robotnicy zaczęli wracać do domów, tylko ich dwoje nie miało domu.

Coraz większy głód żelazną ręką zaczynał szarpać wnętrzności Wawrzona. Chłop siedział ponury i chmurny, ale coś jakby straszliwe postanowienie zaczęło się malować na jego twarzy. Kto by na nią spojrział, ten by się przestraszył, bo twarz ta miała wyraz zwierzęcy i ptasi z głodu, a zarazem tak rozpaczliwie spokojny, jakby u człowieka umarłego. Przez cały czas nie odezwał się do dziewczyny ani słowem, dopiero gdy nastąpiła noc, gdy port opustoszał zupełnie, rzekł dziwnym głosem:

– Pójdźwa, Maryś!

– Dokąd pójdziewa? – pytała sennie.

– Na owe pomosty nad wodę. Położywa się na deskach i będziewa spali.

Poszli. W ciemności zupełnej musieli pełzać bardzo ostrożnie, by nie wpaść w wodę.

Amerykańskie wiązania z desek i belek tworzyły liczne zakręty i jakby korytarzyk drewniany, na którego końcu znajdowała się platforma z desek, za nią zaś taran do zabijania pali. Na tej platformie, pokrytej daszkiem dla ochrony od deszczu, stawali ludzie ciągnący sznury od tarana, ale teraz nie było tam nikogo.

Gdy doszli na sam jej kraniec, Wawrzon rzekł:

– Tu będziewa spali.

Marysia padła raczej, niż położyła się, na deski i mimo że zaraz opadły ich roje moskitów, usnęła ciężko.

Nagle wśród nocy głębokiej obudził ją głos Wawrzona:

– Maryś, wstawaj!

Było coś takiego w tym wołaniu, iż rozbudziła się natychmiast.

– Co, tatulu?

Wśród ciszy i ciemności nocnej głos starego chłopca ozwał się głucho, strasznie, ale spokojnie:

– Dziewczyno! Już tobie głodem dłużej nie mrzeć. Nie pójdieszże ty pod ludzkie progi o chleb prosić, nie będzieszże ty na dworze sypiać. Ludzie cię opuścili, Bóg cię opuścił, dola skapiiała, to niech cię choć śmierć przytuli. Woda głęboka jest, nie będziesz się męczyła.

W ciemności nie mogła go dojrzeć, choć oczy jej szeroko rozwarły się z przerażenia.

– Utopię ja cię, niebogo, i sam się utopię – mówił dalej. – Nie ma poratowania dla nas, nie ma miłosierdzia nad nami. Jutro nie będzie ci się chciało jeść, jutro ci będzie lepiej niż dziś...

Nie! Ona nie chciała umierać. Ona miała osiemnaście lat i to przywiązanie do życia, tę bojaźń śmierci, jaką daje młodość. Cała w niej dusza wzdrygnęła się do głębin na myśl, że jutro będzie topielcem, że pójdzie w jakąś ciemność, że będzie leżała w wodzie, wśród ryb i gadów, na dnie szlamistym. Za nic w świecie! Nieopisany wstręt i strach ogarnęły ją w tej chwili, a rodzony ojciec mówiący tak w ciemności wydał się jej jakimś złym duchem.

Przez ten czas obie jego ręce spoczywały na jej wychudłych ramionach, a głos mówił ciągle z tym strasznym spokojem:

– Choćbyś krzyczała, nikt cię nie usłyszy. Pchnę cię tylko i wszystko dwóch pacierzy nie potrwa.

– Nie chcę, tatulu, nie chcę! – wołała Marysia. – Czy wy się Boga nie boicie? Tatulu serdeczny, złoty, zlitujta się nade mną! Co ja wam uczyniła? Dyć ja nie narzekała na moją niedolę, dyć ja z wami cierpiała głód i zimno... Tatulu!

Oddech jego stał się szybki, ręce zacisnęły się jak kleszcze... Ona wypraszała się śmierci coraz rozpaczliwiej.

– Zlitujta się! Miłosierdzia! miłosierdzia! Jać dziecko wasze, jam biedna, chora; mnie i tak niedługo na świecie. Mnie żal! Ja się boję!

Tak jęcząc czepiała się jego sukmany i usta przyciskała błagalnie do tych rąk, które ją spychały w przepaść. Ale jego to wszystko zdawało się tylko podniecać. Spokój jego przeszedł w obłęd: zaczął rzezić i chrapać. Chwilami nastawała między nimi cisza i kto by stał nad brzegiem, słyszałby tylko głośnie oddechy i szamotanie się, i trzask desek. Noc była głęboka, ciemna, a pomoc nie mogła znikąd nadejść, bo to był sam koniec portu, na którym w dzień nawet prócz robotników nie bywało nikogo.

– Zmiłowania! zmiłowania! – wołała przeraźliwie Marysia.

W tej chwili jedną ręką pociągnął ją gwałtownie na sam brzeg rusztowania, drugą począł bić w głowę, by przytłumić jej krzyki. Ale i tak te krzyki nie budziły żadnego echa: pies tylko jakiś wył w dali.

Dziewczyna uczuła, że słabnie. Na koniec nogi jej trafiły na próżnię, ręce tylko trzymały się jeszcze ojca, ale mdlały. Krzyk o ratunek stawał się coraz cichszy, ręce wreszcie urwały szmat sukmany i Marysia uczuła, że leci w przepaść.

Jakoż spadła z platformy, po drodze jednak uczepiła się dylów i zawisała nad wodą.

Chłop pochylił się i straszno powiedzieć, począł jej rękę odczepiać.

Tłum myśli, niby tłum zwichrzonego ptactwa, przelatował jej przez głowę na kształt obrazów i błyskawic: Lipińce, studnia żurawia, wyjazd, okręt, burza, litania, nędza nowojorska; na koniec – co to się z nią dzieje? Widzi jakiś okręt ogromny z podniesionym przodem, na nim tłum ludzi, a z tego tłumu dwie ręce wyciągają się do niej. Na Boga! To Jaśko tam stoi, Jaśko wyciąga ręce, a nad okrętem i nad Jaśkiem Matka Boska uśmiechnięta w jasności wielkiej. Ona na ten widok ludzi na brzegu rozpycha: „Panienko Najświętsza! Jaśku! Jaśku!” Chwila jeszcze... Ostatni raz wznosi oczy ku ojcu: „Tatulu! tam Matka Boska! tam Matka Boska!”

Chwila jeszcze, też same ręce, które spychają ją w wodę, chwytają teraz jej mdlejące dłonie i z jakąś siłą nadludzką ciągną ją w górę. Już znowu czuje pod nogą deski rusztowania, znowu otaczają ją ramiona, ale ramiona ojca, nie kata, i głowa pada na pierś ojcowską.

Ocknąwszy się z omdlenia spostrzegła, że leży spokojnie przy ojcu, ale choć było ciemno, dojrzała, że leży krzyżem i że szlochanie głucho, żalosne wstrząsa i rozrywa mu pierś.

– Maryś – ozwał się wreszcie przerywanym przez łkanie głosem odpuść mi, dziecko...

Dziewczyna poszukała po ciemku jego rąk i przytuliwszy do nich swoje biedne usta wyszeptwała:

– Tatulu! Niech wam tak Pan Jezus odpuści, jako ja odpuszczam...

Z bladej jasności, która od niejakiego czasu świtała na horyzoncie, wynurzył się księżyc wielki, pogodny, pełny i znowu stało się coś dziwnego. Oto Marysia ujrzała, jak od księżycy odrywają się całe roje małych aniołków, jakby pszczołek złotych, i spływają po promieniach, aż do niej, szeleszcząc skrzydełkami, kręcąc się, wijąc i śpiewając dziecinnymi głosami:

– Dziewczyno umęczona, spokój tobie! Ptaszyno licha, spokój tobie! Kwiatku polny, cierpliwy i cichy, spokój tobie!

Tak śpiewając, potrząsały nad nią kielichy lilij białych i małe srebrne dzwoneczki, które dzwoniły:

– Sen tobie, dziewczyno, sen tobie! Sen! sen! sen!

I zrobiło się jej tak dobrze, jasno, spokojnie, że usnęła naprawdę.

Noc mijała i jęła blednąć. Dniało. Świtanie pobiełło wodę. Maszty i kominy zaczęły się wychylać z cienia i jakoby przybliżać; Wawrzon klęczał już schylony nad Marysią.

Myślał, że umarła. Wysmukła jej postać leżała bez ruchu; oczy miała zamknięte, twarz bladą jak płótno z sinawym cieniem, spokojną i zmartwiałą. Na próżno stary wstrząsał ją za ramię; ani drgnęła, ani nie otworzyła oczu. Wawrzonowi zdawało się, że i on chyba umiera, ale przyłożywszy jej rękę do ust poczuł, że oddycha. Serce w niej biło, choć słabo; zrozumiał jednak, że może umrzeć lada chwila. Jeśli z тумanu porannego wynurzy się dzień pogodny, jeśli słońce ogrzeje ją, to się obudzi; inaczej nie.

Mewy zaczęły krążyć nad nią, jakby o nią stroskane; niektóre siadały na pobliskich słupach. Mgła ranna rozstępowała się z wolna pod tchnieniem zachodniego wiatru; powiew ten był wiosenny, ciepły, pełen słodczy.

Potem weszło słońce. Promienie jego padły naprzód na szczyt rusztowania, potem schodząc coraz niżej rzuciły swoje złote światło na martwą twarz Marysi. Zdawały się ją całować, pieścić i jakby utulać. W tych blaskach i w wianku jasnych włosów, porozwiązywanych od nocnej walki i wilgoci, była to twarz po prostu anielska: bo też Marysia była już prawie aniołem przez swoją mękę i niedolę.

Śliczny, różany dzień wstawał z wody, słońce grzało coraz silniej, wiatr chuchał litośnie na dziewczynę; mewy kręcąc się wiankiem krzyczały, jakby ją chciały rozbudzić. Wawrzon zdjawszy z siebie sukmanę przykrył nią jej nogi i nadzieja zaczęła mu wstępować w serce.

Jakoż siność ustępowała z wolna z jej twarzy, policzki poróżowiały lekko, uśmiechnęła się raz i drugi, na koniec otworzyła powieki.

Wówczas ten stary chłop klęknął na pomoście, podniósł oczy do nieba i łzy dwoma strumieniami popłynęły mu po pomarszczonych policzkach.

Uczuł raz na zawsze, że to dziecko – to teraz źrenica oczu jego i dusza jego duszy, i jakby świętość nad wszystko ukochana.

Ona nie tylko się rozbudziła, ale rozbudziła zdrowsza i rzeświejsza niż wczoraj. Czyste powietrze portu zdrowsze dla niej było od zatrutej atmosfery izby. Wracała naprawdę do życia, bo siadłszy na deskach, zawołała zaraz:

– Tatulu! Jeść mi się chce bardzo.

– Pójdź, córuchno, nad wodę, może się tam co znajdzie – rzekł stary.

Wstała bez wielkiego wysilenia i poszli. Ale widocznie jakiś to dzień miał być wyjątkowy w dniach ich niedoli, bo ledwo uszli kilka kroków, ujrzeni tuż koło siebie na rusztowaniu wsuniętą między dwie belki chustkę, a w niej zawinięty chleb, gotowaną kukurydzą i solone mięso. Tłumaczyło się to po prostu tym, że któryś z robotników, pracujący przy warfie, schował sobie wczoraj na dziś część swego śniadania. Robotnicy tamtejsi mają ten zwyczaj; ale Wawrzon z Marysią tłumaczyli to sobie jeszcze prościej. Kto położył tę żywność? W ich mniemaniu Ten, co o każdym kwiatku, ptaku, koniku polnym i mrówce pamięta.

Bóg!

Zmówili pacierz, zjedli, choć niewiele tego było, i poszli nad wodą, aż do głównych doków. Wstąpiły w nich nowe siły. Doszedłszy do budynku celniczego, skręcili pod górę na Water-street ku Broadway. Z odpoczynkami zeszło im na tym parę godzin, bo droga była daleka. Chwilami siadali na deskach lub na próżnych pakach okrętowych. Szli sami nie wiedząc dlaczego, ale coś się tak Marysi widziało, żeby koniecznie iść do miasta. Po drodze spotykali mnóstwo ładownych wozów ciągnących do portu. Na Water-street ruch już panował niemały. Z otwierających się bram wychodzili ludzie i szli pośpiesznie do codziennych zatrudnień. W jednej takiej bramie ukazał się wysoki, siwy i wąsaty jegomość z młodym chłopakiem. Wyszędłszy spojrzął na nich i na ich ubranie, ruszył wąsami; zdziwienie odbiło się na jego twarzy, po czym zaczął się przypatrywać jeszcze bystrzej i uśmiechać się.

Twarz ludzka uśmiechająca się do nich przyjaźnie w Nowym Jorku to był dziw, czary jakieś, na widok których zdumieli się oboje.

Tymczasem siwy jegomość zbliżył się i spytał najczystszą polszczyzną:

– A wyście skąd, ludzie?

Jakby piorun w nich uderzył. Chłop zamiast odpowiedzieć zbladł jak ściana i zachwiał się na nogach nie wierząc ani swoim uszom, ani swoim oczom. Marysia, ochłonawszy pierwsza, przypadła zaraz do nóg starego pana, objęła je rękoma i poczęła wołać:

– Spod Poznania, jaśnie dziedzicu! Spod Poznania.

– Co wy tu robicie?

– W nędzy, w głodzie i w niedoli srogiej żyjewa, drogi panie!

Tu Marysi głosu zabrakło, a Wawrzon rzucił się plackiem do nóg jegomości, potem począł całować połą jego surduta i trzymając ją myślał, że chyba za kawał nieba złapał.

Toć to pan... i swój pan. On z głodu umrzeć nie da, on poratuje, on zmarnieć nie da.

Młody chłopiec, który był z siwym panem, wytrzeszczał oczy, ludzie poczęli się gromadzić, otwierać usta i patrzeć, jak człowiek przed człowiekiem klęczy i po nogach go całuje.

W Ameryce to niebywała rzecz! Ale stary pan począł się na gapiów gniewać.

– To nie wasz *business* – mówił do nich po angielsku – idźcie do swego businessu!

Po czym do Wawrzona i Marysi:

– Nie będziemy na ulicy stali: chodźcie za mną.

Wprowadził ich do najbliższego bar-roomu; tam wszedłszy do osobnego pokoju zamknął się z nimi i z chłopakiem. Oni znowu zaczęli mu do nóg padać, od czego bronił się i mruczał gniewliwie:

– Skończcie ten business! My przecie z jednych stron, my dzieci jednej... matki...

Tu widocznie dym z cygara, które palił, zaczął gryźć go w oczy, bo przetarł je kułakami i spytał:

– Głodniście?

– Bez dwa dni niceśmy nie jedli, jeno co dziś znaleźliśwa nad wodą.

– Wiliam! – rzekł do chłopca – każ im dać jeść.

Następnie pytał dalej:

– Gdzie mieszkacie?

– Nigdzie, jaśnie panie.

– Gdzieście spali?

– Nad wodą.

– Wygnali was z mieszkania?

– Wygnali.

– Nie macie rzeczy prócz tych, co na sobie?

– Nie mamy.

– Nie macie pieniędzy?

– Nie mamy.

– Co będziecie robili?

– Nie wiemy.

Stary pan, pytając szybko i jakby gniewliwie, zwrócił się nagle do Marysi:

– Ile masz lat, dziewczyno?

– Osiemnaście skończę na Matkę Boską Zielną.

– Nacierpiałas się, co?

Nie odpowiedziała nic, tylko schyliła mu się pokornie do nóg.

Starego pana dym znowu zaczął widocznie gryźć w oczy.

W tej samej chwili przynieśli piwo i ciepłe mięso. Stary pan kazał im się zaraz wziąć do jedzenia, a gdy odrzekli, że nie śmieją tego przy nim zrobić, powiedział im, że są głupi. Ale mimo tego jego gniewliwości wydawał im się aniołem z nieba.

Gdy jedli, radowało go to widocznie bardzo. Potem kazał sobie opowiadać, jak się tu dostali i przez co przeszli. Więc Wawrzon opowiedział mu wszystko i nie zataił nic, jako księdzu na spowiedzi. On gniewał się, wymyślał mu, a gdy doszło do tego, jak Wawrzon chciał topić Marysię, krzyknął:

– Ja bym cię ze skóry odarł!

Potem do Marysi:

– Pójdź tu, dziewczyno!

Gdy się zbliżyła, wziął w obie ręce jej głowę i pocałował ją w czoło.

Potem myślał przez chwilę i rzekł:

– Biedę przeszliście. Ale to jest dobry kraj, tylko trzeba sobie umieć radzić.

Wawrzon wytrzeszczył na niego oczy: ten zacny i mądry pan nazywał Amerykę dobrym krajem.

– Tak jest, ciemiego – rzekł spostrzegłszy zadziwienie Wawrzona – dobry kraj! Gdym tu przybył, nie miałem nic, a teraz mam kawałek chleba. Ale wam, chłopom, pilnować roli, nie po świecie się włóczyć. Jak wy wyjedziecie, któż tam zostanie? Wyście tu na nic, a przyjechać tu łatwo, wrócić trudno.

Milczał czas jakiś, potem dodał, jakby do siebie:

– Czterdzieści kilka lat tu siedzę, to się i o kraju zapomniało. Ale tęsknota czasem bierze, co? Wiliam tam musi jechać, niech pozna, gdzie jego ojcowie żyli... To mój syn – rzekł ukazując na chłopca. – Wiliam! przywieziesz mi z domu garść ziemi pod głowę do trumny.

– *Yes, father!* – odpowiedział po angielsku wyrostek.

– I na piersi, Wiliam! I na piersi!

– *Yes, father!*

Starego pana dym tak okropnie zaczął gryźć w oczy, że źrenice zasły mu jakby szkłem.

Zaraz też począł się gniewać:

– Rozumie chłystek po polsku, ale woli mówić po angielsku. Tak tu musi być. Co tu padnie, to dla dawnych progów stracone. Wiliam! idź powiedz siostrze, że będziemy mieli gości na obiad i na noc.

Chłopiec poskoczył żywo. Stary pan zamyślił się i milczał długo; potem zaczął mówić, jakby do siebie:

– Choćby ich wysłać z powrotem, koszt wielki, a przy tym do czego wrócą? Sprzedali, co mieli: pójdą na dziady. W służbie z dziewczyną Bóg wie, co by się stało. Kiedy tu jesteście, trzeba jeszcze pracy popробować. Wysłać ich do jakiej osady, dziewczyna pójdzie za mąż na poczekaniu. Dorobią się we dwoje; zechcą wrócić, to i starego zabiorą.

Następnie rzekł wprost już do Wawrzona:

– Słyszałeś ty o tutejszych naszych osadach?

– Nie słyszałem, wielmożny panie.

– Ludzie! jak wy się tu puszczacie? Na miły Bóg! Nie macieź ginąć potem!? W Chicago jest takich jak ty ze dwadzieścia tysięcy, w Milwaukee tyleż, w Detroit sporo, w Buffalo sporo. Pracują po fabrykach, ale chłopu najlepiej na rolę. Do Radomia wysłać by was, do Illinois, hm! tam już o grunt trudno. Zakładają jakiś nowy Poznań w stepach w Nebrasce, ale to daleko. Kolej drogo kosztuje. Panna Maria w Teksasie także daleko. Do Borowiny byłoby najlepiej, tym bardziej że mogę dać wam bilety darmo, a co dam w rękę, to schowacie na gospodarstwo.

Zamyślił się jeszcze głębiej

– Słuchaj, stary – rzekł nagle. – Zakładają teraz nową osadę

Borowina w Arkansas. Jest to piękny kraj i ciepły, a ziemia prawie pusta. Tam gruntu z lasem weźmiesz 160 morgów od rządu darmo, a od kolei za małą opłatą – rozumiesz? Na gospodarstwo ci dam i bilety na kolej, bo mogę. Pojedziecie do miasta Little-Rock, potem trzeba będzie wozem. Tam znajdziecie i innych, którzy z wami pojedą. Zresztą dam wam listy. Chcę wam pomóc, bom wasz brat; ale twojej dziewczyny sto razy więcej żal mi niż ciebie. Rozumiesz! Bogu dziękujcie, żeście mnie spotkali.

Tu głos jego stał się zupełnie miękki.

– Słuchaj, dziecko! – rzekł do Marysi – oto tu masz moją kartkę: schowaj ją święcie. Jak cię kiedy bieda przycisnie, jak zostaniesz samotna na świecie i bez opieki, to mnie poszukaj. Tyś biedne dziecko i dobre. Gdybym umarł, Wiliam się tobą zajmie. Kartki nie zgub! Chodźcie teraz do mnie.

Po drodze kupił im bielizny i ubrania, a wreszeie zaprowadził do siebie i ugościł. Był to cały dom dobrych ludzi, bo i Wiliam, i jego siostra Jenny zajęli się obojgiem jakby krewnymi. Pan Wiliam obchodził się nawet z Marysią jakby z „*lady*” jaką, czego wstydziła się okrutnie. Wieczorem do panny Jenny przyszło kilka młodych panienek z grzywkami na czołach, ubranych ślicznie i dobrych. Te wzięły między siebie Marysię, dziwiły się, że taka blada, że taka ładna, że ma tak jasne włosy, że im się do nóg ciągle schyla i po rękach je całuje, z czego się śmiały bardzo. Stary pan chodził między młodymi, potrząsał białą głową, mruczał, czasem się gniewał, mówił to po angielsku, to po polsku, rozmawiał z Marysią i Wawrzonem o dalekich stronach rodzinnych: przypominał sobie, rozpamiętywał i od czasu do czasu widocznie dym z cygara gryzł go w oczy, bo je sobie często ukradkiem ocierał.

Gdy się wszyscy rozeszli spać, Marysia nie mogła wstrzymać łez widząc, że panna Jenny własnymi rękoma przygotowuje jej pościel. Ach! jacyż to dobrzy ludzie byli, ale cóż dziwnego! Przecie stary pan był także rodem spod Poznania.

Trzeciego dnia Wawrzon i dziewczyna jechali już do Little-Rock. Chłop czuł sto dolarów w kieszeni i o biedzie zupełnie zapomniał, a Marysia czuła nad sobą widomą rękę Bożą i wierzyła, że ta ręka nie da jej zginąć; że jak ją z niedoli wyprowadziła, tak i Jaśka do Ameryki sprowadzi i nad obojgiem czuwać będzie, i do Lipiniec wrócić im pozwoli.

Tymczasem miasta i farmy wiejskie migają im przez okna wagonu. Było to zupełnie inaczej niż w Nowym Jorku. Były pola i bór na dalekości, i domki, przy których rosły drzewa; ruń zbóż wszelkich zieleniła się wielkimi szmatami zupełnie jak w Polsce. Na ten widok Wawrzonowi rozpierało tak coś piersi, że miał ochotę krzyknąć: „Hej! wy bory i pola zielone!” Na łąkach pasły się trzody krów i owiec; po rubieżach leśnych widać było ludzi z siekierami. Pociąg leciał dalej i dalej. Powoli okolica stawała się coraz mniej ludna. Farmy znikły, a kraj roztworzył się w szeroki pusty step. Wiatr na nim wiał falą traw i migotał kwiatami. Miejscami wiły się na kształt złocistych wstęg drogi pokryte żółtym kwieciem, po których niegdyś przeszły wozy. Wysokie burzany, dziewanny i szyszkowate osty kiwały głowami jakby witając wędrowców. Orły kołysały się na szerokich skrzydłach nad stepem, wpatrując się pilnie w trawę. Pociąg rwał naprzód, jakby chciał dolecieć tam, gdzie te stepowe przestrzenie giną oczom i zlewają się z niebem. Z okien wagonów widać było całe stadka zajęcy i piesków ziemnych.

Czasem rogata głowa jelenia mignęła nad trawami. Nigdzie ani wieżyczki kościelnej, ani miasta, ani wsi, ani domu, stacje tylko; ale między stacjami i w bok ani żywego ducha. Wawrzon spoglądał na to wszystko, kręcił głową i nie mógł zrozumieć, że tyle „dobroci”, jak nazywał grunta, pustką stoi.

Upłynął dzień i noc. Rankiem wjechali w bory, w których drzewa były pookręcane pnącymi się roślinami, grubymi jak ramię ludzkie, co robiło bór tak gęsty, że chyba w niego siekierą jak w ścianę bić. Nieznane ptactwo świergotało w tych zielonych gąszczach. Raz zdało się Wawrzynowi i Marysi, że wśród skrętów i bisiorów ujrzeli jakichś jeźdźców z piórami na głowach i o twarzach tak czerwonych jak miedź polerowana. Widząc te lasy, te puste stopy i puste bory, te wszystkie nieznane cuda i ludzi innych, Wawrzon nie mógł wreszcie wytrzymać i rzekł:

- Maryś!
- Co tatulu?
- Widzisz?
- Widzę.
- A dziwujesz się?
- Dziwuję się.

Przejechali na koniec rzekę ze trzy razy szerszą od Warty, o której później dowiedzieli się, że się nazywa Missisipi, i głuchą już nocą przybyli do Little-Rock.

Stąd mieli się wypytać o drogę do Borowiny.

Porzucamy ich w tej chwili. Drugi okres ich tułactwa za chlebem został ukończony. Trzeci miał się odgrywać w lasach, wśród huku siekier i w ciężkim znoju osadniczego życia. Czy mniej w nim było łez, cierpień i niedoli – dowiemy się niedługo.

III. ŻYCIE OSADNICZE

Czym była Borowina? Osadą, która miała powstać. Ale widocznie nazwę obmyślono z góry, wychodząc z zasady, że gdzie istnieje nazwa, tam musi istnieć i rzecz. Poprzednio gazety polskie, a nawet i angielskie, wychodzące w Nowym Jorku, Chicago, Bufallo, Detroit, Milwaukee, Manitovok, Denver, Calumet, słowem wszędzie, gdzie można usłyszeć mowę polską, głosiły urbi et orbi w ogólności, a polskim osadnikom w szczególności, że kto by z nich chciał być zdrowym, bogatym, szczęśliwym, jeść tłusto, żyć długo, a po śmierci na pewno otrzymać zbawienie, ten niech się zapisuje na działkę w rajku ziemskim, czyli w Borowinie. Ogłoszenia mówiły, że Arkansas, w którym ma stać Borowina, jest krajem pustym jeszcze, ale najzdrowszym w świecie. Wprawdzie miasteczko Memphis, leżące na samej granicy, z tamtej strony Missisipi, jest siedliskiem żółtej febry, ale według ogłoszeń ani żółta, ani żadna inna febra nie potrafiłaby przepłynąć takiej rzeki jak Missisipi. Na ogólnym brzegu rzeki Arkansas nie ma jej dlatego jeszcze, że sąsiedzi, Indianie Choctaws, oskałpowałiby ją bez żadnej litości. Febra drży na widok czerwonej skóry. Skutkiem takiego składu rzeczy osadnicy w Borowinie mieszkać będą między febrą od wschodu a czerwonoskórymi od zachodu, w pasie zupełnie neutralnym, zatem mającym przed sobą taką przyszłość, że za lat tysiąc Borowina będzie niezawodnie liczyła ze dwa miliony mieszkańców, a ziemia, którą się dziś płaci po 1 i pół dolara za akr, pójdzie na place do sprzedania w cenie mniej więcej tysiąca dolarów za kwadratowy łokieć. Takim obietnicom i widokom trudno się było oprzeć. Tych, którym by mniej podobało się sąsiedztwo Choctawów, ogłoszenia zapewniały, że ten waleczny szczep ożywiony jest szczególniejszą sympatią właśnie dla Polaków, że więc należy przewidywać stosunki jak najuprzejmiejsze. Zresztą wiadomo, że gdzie przez lasy i stopy przejdzie kolej żelazna i słupy telegraficzne w kształcie krzyżów, tam owe krzyże stają się wkrótce znamionami stojącymi na mogiłnikach indyjskich; że zaś ziemia pod Borowiną nabyta została od kolei żelaznej, zniknięcie więc Indian było tylko kwestią czasu.

Ziemia została nabyta istotnie od kolei żelaznej, co zapewniało osadzie związek ze światem, zbyt dla produktów i przyszły rozwój.

Ogłoszenia zapomniały wprawdzie dodać, że kolej ta była dopiero projektowaną i że właśnie sprzedaż sekcji nadawanych kolejom przez rząd w krajach pustych miała zapewnić, a raczej dopełnić funduszu potrzebnego na budowę; zapomnienie to było jednak łatwe do wybaczenia przy businessie tak złożonym. Zresztą pociągało tę tylko różnicę dla Borowiny, że osada zamiast się znajdować na linii drogi leżała w głuchej pustyni, do której trzeba się było dostawać wśród wielkich trudów wozami.

Z tych zapomnień mogły się zrodzić różne przykrości, przykrości jednak były tylko czasowe i miały ustać wraz z przeprowadzeniem kolei. Zresztą wiadomo jest, że ogłoszeń w tym kraju nie można brać dosłownie, albowiem jak każda roślina przesadzona na amerykański grunt wybuja niezawodnie, ale kosztem owoców, tak i reklama w amerykańskich gazetach tak się rozrasta, że ziarno prawdy trudno czasem z retorycznych plew wyłuskać. Odłożywszy jednak na bok wszystko, co w ogłoszeniach o Borowinie należało uważać za tak zwany *humbug*, można jeszcze było mniemać, że osada ta nie będzie wcale gorsza od tysiąca innych, których powstawanie z nie mniejszą przesadą głoszone.

Warunki wydawały się nawet z wielu względów pomyślnymi, stąd mnóstwo osób, a nawet rodzin polskich rozproszonych po całych Stanach, od wielkich jezior aż po palmowe lasy Florydy, od Atlantyku aż po kalifornijskie wybrzeża, zapisało się na osiedleńców w mającej powstać osadzie. Mazurzy pruscy, Ślązacy, Poznańczycy, Galicjanie, Litwini z Augustowskiego i Mazurzy spod Warszawy, którzy pracowali po fabrykach w Chicago i Milwaukee i którzy od dawna wzdychali do życia, jakie chłop z chłopów powinien prowadzić, chwycili pierwszą sposobność, by się z dusznych, zakopconych dymem i sadzą miast wy dostać, a jąć się pługą i siekiery w przestronnych polach, borach i stepach Arkansasu. Ci, którym było za gorąco w Pannie Marii w Teksas lub za zimno w Minnesocie, lub za wilgotno w Detroit, lub za głodno w Radomiu w Illinois, połączyli się z pierwszymi i kilkuset ludzi, najwięcej mężczyzn, ale wiele także niewiast i dzieci wyruszyło do Arkansas. Nazwa „Bloody-Arkansas”, to jest „krwawy”, nie odstraszała zbyt osadników. Jakkolwiek, prawdę mówiąc, kraj ten obfituje dotychczas w drapieźnych Indian, w tak zwanych *outlawów*, czyli rozbójników zbiegłych spod prawa, w zdziczałych skwaterów, wycinających drzewo wbrew zakazom rządowym nad Red-River, i w różnych innych awanturników lub drapichrustów urwanych spod szubienicy; jakkolwiek dotąd zachodnia część tego Stanu słynną jest z okrutnych zapasów

między czerwonoskórymi a białymi myśliwcami na bawoły i ze straszliwego prawa *lynch*, przecie można dać sobie z tym wszystkim radę. Mazur, gdy czuje sękacza w łapie, a zwłaszcza jeszcze gdy ma po Mazurze z każdego boku i Mazura za sobą, nie bardzo komu ustąpi, a temu, co by mu nadto w drogę laźł, gotów krzyknąć:

Dyćwa nie ciarachy! Nie targajta, bo żgniema, aż będzieta chramać!

Skądinał wiadomo także, że Mazurzy lubią się trzymać razem i osiadać w ten sposób, by Maciek Maćkowi mógł w każdej chwili z kłonicą na pomoc pośpieszyć.

Punktem zbornym dla większości było miasto Little-Rock, ale z Little-Rock do Claresville, najbliższej osady ludzkiej, z którą miała sąsiadować Borowina, trochę dalej niż z Warszawy do Krakowa, a co gorsza, trzeba było jechać krajem pustym, przedzierać się przez lasy i wezbrane wody.

Jakoż kilku ludzi, którzy nie chcą czekać na całą gromadę, puścili się w pojedynkę, zginęło bez wieści, ale główny tabor doszedł szczęśliwie i obozował oto teraz wśród lasu.

Prawdę powiedziawszy, przybywszy na miejsce osadnicy rozczarowali się bardzo. Spodziewali się zastać na gruntach przeznaczonych na osadę pola i las, a znaleźli tylko las, który dopiero trzeba było karczować. Czarne dęby, drzewa czerwone, bawełniane (tak zwane cottonwood), jasne platany i posępne hikory, stały obok siebie jedną masą. Puszcza tu była nie na śmiech, podszyta czaporalem z dołu, powikłana w górze lianami, które przeskakując na kształt lin i sznurów z drzewa na drzewo tworzyły jakby zwieszające się mosty, jakby zasłony, jakby bisiorzy jakie kwieciami okryte, a tak gęste, tak stłoczone i zbite, że oko nie pobiegło w dal, jako w naszych lasach: kto się zapuścił głębiej, ten nieba nad sobą nie dojrzał i w mroku błędzić musiał, i zbłądzić mógł, i zaprzepaścić się na zawsze. Jeden i drugi Mazur spoglądał to na własne pięście, to na siekiere, to na owe dęby mające po kilkanaście łokci obwodu i niejednemu markotno się zrobiło. Błogo mieć drzewo na chałupę i na opał, ale wyciąć las jednemu człowiekowi na 160 morgach, pniaki z ziemi wydrapać, wykroty zrównać i dopiero imać się pługą, to praca na całe lata.

Ale nie było nic innego do roboty, więc zaraz drugiego dnia po przybyciu taboru jaki taki przeżegnał się, w ręce splunął, chwycił toporzysko, stęknął, machnął, uderzył, i od tej pory co dzień było słychać

huk siekier w tym arkansaskim lesie, a czasem i pieśni rozlegające się echem:

Przyszedł Jasieńko,
Przyszedł ze dworu:
„Miła Kasieńko,
Pójdźwa do boru,
Do boru, do ciemnego.”

Tabor stał wedle strumienia na dość obszernej polance, brzegiem której miały stanąć w kwadrat chałupy, na środku zaś z czasem kościół i szkoła. Ale do tego było jeszcze daleko; tymczasem zaś stały wozy, na których przybyły rodziny osadnicze. Wozy te ustawiono w trójkąt, by w razie napadu można w nich się bronić jak w fortecy. Za wozami na pozostałej części polanki chodziły muły, konie, woły, krowy i owce, nad którymi czuwała straż złożona z młodych, zbrojnych parobków. Ludzie sypiali na wozach lub też za ich obrębem naokoło ognisk.

W dzień kobiety i dzieci zostawały w taborze, obecność zaś mężczyzn można było poznać tylko po huku siekier, którym rozbrzmiewał cały las. Nocami wyły w gąszczach dzikie zwierzęta, mianowicie jaguary, arkansaskie wilki i kujoty. Straszne szare niedźwiedzie, które blasku ognia mniej się boją, podchodziły czasem dość blisko do wozów, skutkiem czego często wśród ciemności rozlegały się wystrzały z karabinów i wołania: „Bywaj bić bestyję!” Ludzie, którzy przybyli z dzikich stron teksaskich, byli po największej części wprawnymi myśliwcami i ci dostarczali z łatwością sobie i swym rodzinom zwierzyny, mianowicie antylop, jeleni i bawołów; była to bowiem pora wiosennych wędrówek tych zwierząt na północ. Reszta osadników żywiła się zapasami zakupionymi w Little-Rock lub Clarcsville, a składającymi się z kukurydzowej mąki i solonego mięsa.

Prócz tego bito owce, których pewną ilość zakupiła każda rodzina.

Wieczorami, gdy wedle wozów rozpalono wielki ogień, młodzież po wieczerzy zamiast iść spać puszczała się w taniec. Jakiś grajek przywiózł z sobą skrzypce, na których wygrywał obertasa od ucha, a gdy głos skrzypiec ginął nadto wśród leśnego szumu i pod otwartym niebem, inni pomagali grajkowi na sposób amerykański, brzękając w blaszane miski. Życie uchodziło w pracy ciężkiej gwarnie, a przy tym bezładnie. Najpierwszą rzeczą było postawić chałupy; jakoż wkrótce na zielonym podścielisku polanki stanęły zręby domów, cała zaś jej po-

wierzchnia pokryła się wiórami, heblowinami, kawałkami kory i tym podobnym śmieciem drzewnym. Czerwone drzewo, czyli tak zwane redwood, łatwo dawało się obrabiać, ale często trzeba było po nie chodzić daleko. Niektórzy pourządzali sobie tymczasowe namioty z płócien pozdzieranych z wozów. Inni, zwłaszcza nieżonaci, którym mniej pilno było do dachu nad głową, a więcej przykrzył się karczunek, zaczęli orać w miejscach, gdzie puszcza nie była podszyta i gdzie dęby i hikory, tj. żelazne drzewa, były rzadsze. Wówczas to, jak bór arkansański borem, pierwszy raz rozległy się w nim nawoływania:

– Heć, kso, byś!

W ogóle jednak taki nawał roboty spadał na osadników, że nie wiadomo było, do czego rąk przyłożyć: czy naprzód stawiać domy, czy karczować, czy chodzić za zwierzyną. Zaraz z początku pokazało się, że pełnomocnik kolonistów kupił ziemię od kolei na wiarę i nigdy w niej poprzednio nie był; inaczej bowiem nie byłby nabywał głuchej puszczy, zwłaszcza iż równie łatwo było kupić kawałki stepu częściowo tylko lasem pokryte. Tak on, jak i pełnomocnik kolei przybyli wprawdzie na miejsce, by działki rozmierzyć i wskazać każdemu, co do niego należy, ale zobaczywszy jak rzeczy stoją, pokręcili się dwa dni, następnie wyklócili się i wyjechawszy niby po narzędzia miernicze do Clarcsville, nie pokazali się już w osadzie.

Wkrótce wyszło na jaw, że jedni osadnicy zapłacili więcej, inni mniej, a co gorzej, nikt nie wiedział, gdzie jego działka leży, jak odmierzyć to, co na niego wypada. Osadnicy zostali bez żadnego przewodnictwa, bez żadnej władzy, która by mogła sprawy ich porządkować i spory godzić. Nie wiedziano dobrze, jak pracować. Niemcy wzięliby się zapewne całą gromadą do wycięcia lasu i oczyściwszy całą przestrzeń, postawiwszy wspólnymi siłami domy, dopiero by zaczęli przy każdym domu odmierzać grunta. Ale każdy Mazur chciał od razu swoim się zająć, swój dom stawiać i na swojej działce las ciąć. Każdy przy tym chciał brać miejsca przy środkowej polance, gdzie puszcza była najrzadsza, a woda najbliższa. Stąd powstały spory, które wzrosły zaraz, gdy pewnego dnia zjawił się jakby z nieba spadły wóz niejakiego pana Grünmańskiego. Ten pan Grünmański w Cincinnati, np., gdzie mieszkają Niemcy, może nazywał się krócej: Grünman, ale w Borowinie dodał sobie „ski” dlatego, żeby handel lepiej szedł. Wóz jego miał wysoki dach płócienny, na którym z każdego boku czerniał napis wielkimi literami: „Saloon”, a pod spodem mniejszymi: „Brandy, whisky, dzin”.

Jakim sposobem wóz ten przejechał w całości niebezpieczną pustynię między Clarcsville a Borowiną, jakim sposobem nie rozbili go stepowi awanturnicy, dlaczego Indianie, którzy wałęsają się małymi oddziałami nieraz bardzo blisko od Clarcsville, nie zdjęli skalpu z głowy pana Grünmańskiego, to była jego tajemnica, dość że przybył i tego samego dnia zaraz zaczął robić doskonale interes. Ale też tego samego dnia osadnicy poczęli się kłócić. Do tysiącznych sporów o działki, o narzędzia, o owce, o miejsca przy ogniskach, przybyły nader błahy powody. Oto w osadnikach obudził się jakiś zaściankowoamerykański patriotyzm. Ci, co pochodzili ze stanów północnych, poczęli wychwalać dawne swe siedziby kosztem osad i osadników ze stron południowych i odwrotnie. Wówczas to można było usłyszeć ową północnoamerykańską polszczyznę, cerowaną angielskimi nićmi wszędzie, gdzie ją odłączenie od macierzystego kraju i przebywanie wśród obcych przedziurawiło.

– Bo co wy ta chwalita swoje południowe kontry – mówił parobczak spod Chicago. – U nas, w Illinois, gdzie spojrzysz, to je rajbrod, a co karem milkę ujedziesz, to *city*. Pójdiesz na fermę, dom chcesz stawić, to nie potrzebujesz lasu gryźć, kupisz lumbe i basta, a u was co?

– U nas jeden kanion więcej wart niż całe twoje bloki.

– A ty mnie *goddam*, czego tykasz? Tam byłem syr, to i tu będę syr, a ty coś za jeden?

– Cicho, bo złapię szyngiels, albo ci łeb umoczę w kryku, kiedy się sierdzisz. Co ci za *business* do mnie.

– Czego mnie faliszujesz? Kupię cię za bita!

.....

W osadzie źle się po prostu działo, bo ta gromada przypominała gromadę owiec bez pastucha. Spory o działki stawały się coraz gwałtowniejsze. Przychodziło do bitew, w których towarzysze z jednych miast lub osad łączyli się przeciwko pochodzącym z innych. Doświadczeni, starsi i mędrsi zyskiwali wprawdzie z wolną powagą i władzę, ale nie zawsze mogli je utrzymać. W chwilach tylko niebezpieczeństw wspólny instynkt obrony kazał zapominać o kłótniach. Raz gdy wieczorem gromadka włóczęgów indyjskich ukradła kilkanaście owiec, chłopci rzucili się za nimi w pogoń hurmem i bez chwili namysłu. Owce odebrano, jednego czerwonoskórego zbito tak, że wkrótce umarł i najlepsza zgoda panowała tego dnia, drugiego ranka znowu zaczęli się bić z sobą przy karczunku. Zgoda przychodziła także, gdy wieczorami gra-

jek poczynał wygrywać nie do tańca, ale rozmaite pieśni, które każdy słyszał dawno, jeszcze pod słomianymi strzechami. Rozmowy wtedy cichły. Chłopi otaczali grajka wielkim kołem, szum boru wtórował mu, płomień w ogniskach sykał i strzelał skrami, oni zaś stojąc spuszczały chmurnie głowy i dusze z nich ulatywały za morze. Nieraz księżyc wytoczył się wysoko nad las, a oni jeszcze słuchali. Ale z wyjątkiem tych krótkich chwil rozpręgało się wszystko coraz bardziej w osadzie. Bezład powiększał się, nurtowała nienawiść. To małe społeczeństwo, rzucone wśród lasów i prawie oderwane od reszty ludzi i opuszczone przez przewodników, nie mogło i nie umiało sobie dać rady.

Między osadnikami odnajdujemy dwie znane nam postacie: starego chłopca, nazwiskiem Wawrzyn Toporek, i jego córkę Marysię. Dostawczy się do Arkansas mieli w Borowinie dzielić losy innych. Jakoż z początku lepiej się im działo. Co bór, to nie bruk nowojorski, a przy tym tam nie mieli nic, tu posiadali wóz, inwentarza trochę, nabytego tanio w Clarksville, i trochę porządków do roli. Tam gryzła ich straszna tęsknota, tu praca ciężka nie pozwalała myśli od dnia dzisiejszego oderwać. Chłop od rana do wieczora bór ciął, wióry łupał i belki na chałupę obrabiał; dziewczyna musiała chusty w strumieniu prać, ogień rozniecać, jeść gotować; ale mimo znoju ruch i powietrze leśne zacierały stopniami na jej twarzy ślady choroby, jakiej nabyła przez nędzę w Nowym Jorku. Gorący powiew z Teksasu opalił i pokrył złotawym odblaskiem bladą jej twarzyczkę. Młodzi chłopcy z Sant-Antonio i z nad wielkich jezior, którzy o lada co przyskakiwali do siebie z pięściami, w tym tylko byli zgodni, że Marysi oczy tak patrzą spod jasnych włosów jak chaber z żyta i że to najładniejsza dziewczyna, jaką oko ludzkie oglądało. Uroda Marysina wyszła na dobre i Wawrzonowi. Sam sobie szmat najrzadszego lasu wybrał i nikt mu się nie sprzeciwił, bo wszyscy parobcy byli po jego stronie. Niejeden też mu w ścinaniu drzewa i obrabianiu belek albo w zakładaniu na zręby pomagał, a stary, że chytry był, poznał, co się święci, i od czasu do czasu odzywał się:

– Moja córuchna chodzi po łące kiejby lelija, kiejby pani, kiejby królewna. Komu zechcę, to ją dam, ale byle komu nie dam, bo ona je gospodarska córka. Kto mi się niżej pokłoni i lepiej wygodzi, temu dam, nie żadnemu powsinodze.

Kto więc jemu pomagał, myślał, że sobie pomaga.

Wawrzonowi więc było lepiej nawet niż innym, a w ogóle byłoby wcale dobrze, gdyby osada miała jaką przyszłość przed sobą. Ale tam rzeczy psowały się z dnia na dzień. Ubiegł tydzień i drugi. Naokoło

polanki zrabano drzewo, ziemia pokryła się wiórami, tu i owdzie wzniosła się żółta ściana domostwa; to jednak, co zrobiono, było fraszką w porównaniu z tym, co należało zrobić. Zielona ściana boru z wolna tylko ustępowała przed siekierami. Ci, którzy się zagłębiali w chaszczę, przynosili dziwaczne wieści, że ten bór wcale końca nie ma, że dalej straszne w nim bagna, bajora i jakaś śpiąca woda pod drzewami, że jakieś dziwotwory tam mieszkają, jakieś opary na kształt duchów przesuwają się między gąszczami, jakieś węże syczą, jakieś głosy wołają: „Nie chodź!”, jakieś krzaki niesamowite za ubranie łapią i nie puszczają. Pewien chłopak z Chicago dowodził, że widział diabła we własnej osobie, jak straszny, kudłaty łeb z błota podniósł i tak na niego chrapał, iż ledwo do taboru uciekł. Osadnicy z Teksas tłumaczyli mu, iż to musiał być bawół, ale on nie chciał wierzyć. Tak groźnemu położeniu grozy przesąd dodawał. W kilka dni po widzeniu diabła zdarzało się, że dwóch zuchów w las poszło i więcej ich nie ujrzano. Kilku ludzi zachorowało na krzyże z wysilenia, a potem rzuciła się na nich febra. Kłótnie o działki wzrastały do tego stopnia, że do ran i krwi w bitwach przychodziło. Kto nie pocechował bydła, temu inni własności zaprzeczali. Tabor rozprzągł się, rozstawiono wozy po wszystkich kątach polanki, by być od siebie jak najdalej. Nie wiadomo było, kto ma wychodzić na stróżę do bydła; owce poczęły ginąć. Tymczasem jedna rzecz stawała się coraz widoczniejszą, to że nim słońce wzejdzie, rosa oczy wyje; nim zasiewy na rubieżach leśnych się zazielenią i dochówek jaki będzie, zapasów żywności zabraknie i przyjść może głód.

Rozpacz ogarniała ludzi. Huk siekier w lesie się zmniejsza, bo cierpliwości i odwagi poczynało brakować. Każdyć by jeszcze pracował, gdyby mu kto powiedział: „Masz, dotąd twoje.” Ale nikt nie wiedział, co jego, co nie jego. Słuszne narzekania na przewodników wzrastały. Ludzie mówili, że na puszcę zostali wywiedzeni, by wyginęli marnie. Powoli, kto miał coś jeszcze grosza przy duszy, na wóz siadał i do Clarcsville odjeżdżał. Ale więcej było takich, którzy włożywszy ostatni grosz w sprawę, nie mieli o czym wracać do dawnych siedzib. Ci załamywali ręce widząc zgubę pewną.

Siekierzy przestały wreszcie rąbać, a bór szumiał, jakby się natrzasał z ludzkiej niemocy. „Rąb dwa lata, a potem z głodu zamrzyj” mówił chłop do chłopu. A las szumiał, jakby się natrzasał.

Pewnego wieczora przyszedł Wawrzon do Marysi i rzekł:
– Widzę, że wszyscy tu zmarnieją i my zmarniejemy.

– Wola Boga – odrzekła dziewczyna – ale był ci On nam miłosier-
ny, to i teraz nas nie opuści.

Tak mówiąc, podnosiła niebieskie jak chaber oczy do góry ku
gwiazdom i w blaskach ogniska wyglądała jak jaki obrazek kościelny.

A chłopaki z Chicago i strzelcy z Teksasu patrząc na nią mówili:

– I my nie opuściwa cię, Marysiu, zorzo rumiana.

Ona pomyślała sobie, że jeden jest tylko taki, z którym by poszła na
kraj świata, jeden Jaśko w Lipińcach. Ale ten, choć przyrzekł kaczorem
morze za nią przepłynąć, ptakiem powietrze przelecieć, złotym pier-
ścieniem po gościńcu się potoczyć, nie przepływał, nie przelatował i
ten jeden opuścił ją niebogę.

Marysia nie mogła nie wiedzieć, że w osadzie źle się dzieje, ale w
takiej już była toni, z takich przepaści Bóg ją wydobył, taka jej dusza
stała się jasna w niedoli, że ufności w pomoc niebieską nic jej nie mo-
gło odebrać.

Zresztą wspomniała, że stary pan w Nowym Jorku, który im po-
mógł z nędzy wstać i tu się przedostać, dał jej swoją kartę rzekłszy, że
gdy ją niedola przycisnie, niech się do niego zgłosi, a on ją poratuje
zawsze.

Tymczasem dla osady każdy dzień większą groźbę przynosił. Lu-
dzie uciekali z niej nocami, i co się tam z nimi działo, to już trudno
powiedzieć. Wokoło las szumiał i natrzasał się.

Stary Wawrzon zachorował wreszcie z wysilenia. Ból jął mu po pa-
cierzach chodzić. Dwa dni nie zważał na to, trzeciego nie mógł wstać.
Dziewczyna poszła do lasu, nazbierała mchu, wysłała nim gotową
ścianę domu, leżącą na murawie, położyła ojca na mchach i gotowała
mu leki z wódką.

– Maryś! – mrucał chłop – już śmierć idzie do mnie przez bory;
zostaniesz ty sama na świecie, sieroto. Bóg mnie karze za ciężkie grze-
chy moje, bom cię wyprowadził za morze i zgubił. Ciężkie będzie moje
konanie...

– Tatulu! – odpowiadała dziewczyna – mnie by Bóg skarał, gdy-
bym za wami nie była poszła.

– Bym cię jeno samej nie zostawił: gdybym cię do ślubu błogosła-
wił, lepiej by było umierać. Maryś, weź ty Czarnego Orlika za męża:
on jest chłop dobry, on cię nie opuści.

Czarny Orlik, niechybny myśliwiec z Teksasu, który to słyszał, za-
raz rzucił się na kolana.

– Ojczel! pobłogosławta – rzekł. – Miłuję ja tę dziewczynę jako do-
lę własną. Jać się z borem znam i zginać jej nie dam.

Tak mówiąc patrzył sokolimi oczyma na Marysię jako na tęczę, ale
ona, pochyliwszy się ku nogom starego, rzekła:

– Nie niewólcie mnie, tatulu! Komu ślubowałam, tego będę albo
niczyja.

– Komuś ślubowała, tego nie będziesz, bo ja go zabiję. Moją mus-
sisz być albo niczyją – odpowiadał Orlik. – Zmarnieją tu wszyscy,
zmarniejesz i ty, jeśli cię nie poratuję.

Czarny Orlik nie mylił się: osada marniała. Ułynął znowu tydzień
i drugi. Zapasy dobiegały końca. Zaczęto bić bydło przeznaczone na
robotę. Febra rzucała się na coraz nowe ofiary, ludzie na puszczy za-
częli to przeklinać, to wołać wielkimi głosami do nieba o ratunek.
Pewnej niedzieli starzy, parobki, kobiety i dzieci, wszyscy klękli na
murawie i śpiewali suplikacje. Sto głosów powtarzało: „Święty Boże,
Święty mocny, Święty a nieśmiertelny, zmiłuj się nad nami!” Bór prze-
stał kołysać się, przestał szumieć i słuchał. Dopiero gdy pieśń ucichła,
zaszumiał znowu, jakby mówił groźnie: „Jam tu król, jam tu pan, jam
tu najmocniejszy.”

Ale Czarny Orlik, który z borem się znał, utkwiał weń czarne swe
oczy, popatrzył nań dziwnie jakoś, potem rzekł głośno:

– Ano, to weźmiewa się za bary.

Ludzie popatrzyli z kolei na Orlika i otucha jakaś wstąpiła im w
serce. Ci, co go znali jeszcze z Teksasu, mieli do niego ufność wielką,
bo to był myśliwiec nawet w Teksasie sławny. Chłop to był istotnie w
stepach zdziczały i silny jak dąb. Na niedźwiedzia w pojedynkę cho-
dził. W Sant-Antonio, gdzie przedtem mieszkał, wiedziano dobrze, że
czasem gdy wzięwszy karabin wyszedł na pustynię, to po parę miesię-
cy w domu go nie bywało, a zawsze wracał zdrów, cały. Przezywano
go Czarnym, bo tak był opalony od słońca. Mówiono nawet o nim, że
na granicy Meksyku rozbijał, ale to nie było prawdą. Przynosił tylko
skóry, a czasem i skalpy indyjskie, dopóki mu za nie proboszcz miej-
scowy klątwą nie zagroził. Teraz w Borowinie on tylko o nic nie dbał i
o nic się nie troszczył. Bór mu dawał jeść i pić, bór go odziewał. Gdy
więc zaczęli ludzie uciekać i tracić głowy, on zaczął wszystko w ręce
brać i rządzić się, jak szara gęś po niebie, mając za sobą wszystkich z
Teksasu. Gdy się po suplikacjach na bór zawziął, ludzie pomyśleli so-
bie: „Przecie on coś wymyśli.”

Tymczasem zachodziło słońce. Wysoko między czarnymi gałęziami hikor świeciła jeszcze czas jakiś jasność złota, potem szzerwieniała i gasła. Wiatr pociągał ku południowi, gdy się zmroczyło. Orlik wziął karabin i poszedł do lasu.

Noc już zapadła, gdy w czarnej dali leśnej ludzie ujrzeli niby wielką gwiazdę złotą, jakoby wschodzącą zorzę lub słońce, które rosło ze straszną szybkością rozlewając krwawą i czerwoną jasność.

– Bór się pali! Bór się pali! – zaczęto wołać w taborze.

Chmury ptactwa podniosły się z łoskotem ze wszystkich stron lasu, krzycząc, kracząc, świergocąc. Bydło w obozie zaczęło ryczeć żałośnie, psy wyły, ludzie biegali przerażeni nie wiedząc, czy nie na nich idzie pożoga, ale silny wiatr południowy mógł gnać płomienie tylko od polanki. Tymczasem w dali zabłysła druga czerwona gwiazda, potem trzecia. Obie wkrótce zlały się z pierwszą i pożar huczał na coraz większych przestrzeniach. Płomienie rozlewały się jak woda, biegły po suchych wiązaniach lianów i dzikiego wina, trzęsły liśćmi. Wicher wyrywał te płonące liście, niósł je jakby ptaki ogniste dalej i dalej.

Hikory pękały z hukiem armatnim w płomieniach. Czerwone węże ognia wiły się po smolnym podszyciu puszczy. Syczenie, szum, trzask gałęzie, głuche huczenie ognia, pomieszane z wrzaskiem ptactwa i rykiem zwierząt, napępniały powietrze. Niebotyczne drzewa chwiały się niby płomienne słupy i kolumny. Poprzepalane na skrętach liany odrywały się od drzew i kołysząc się strasznie niby jakieś szatańskie ramiona podawały skry i ogień od drzewa do drzewa. Niebo zaczerwieniło się, jakby w nim drugi był pożar. Zrobiło się widno jak w dzień. Potem wszystkie płomienie zlały się w jedno morze ognia i szły przez las jakby tchnienie śmierci lub gniew Boży.

Dym, upał i woń spalenizny napępniły powietrze. Ludzie w taborze, choć im nie groziło niebezpieczeństwo, zaczęli krzyczeć i nawoływać się wzajemnie, gdy nagle od strony pożaru pokazał się w skrach i blasku Czarny Orlik.

Twarz miał okopconą dymem i groźną. Gdy go otoczono kołem, oparł się o karabin i rzekł:

– Nie będziecie karczowali. Spaliłem bór. Jutro będziecie mieli z tej strony pola, ile kto strzyma.

Potem zbliżywszy się do Marysi rzekł:

– Musisz być moją, jakom jest ten, który spalił bór. Kto tu ode mnie mocniejszy?

Dziewczyna zaczęła drzeć na całym ciele, bo luna świeciła w oczach Orlika i cały wydał jej się strasznym.

Pierwszy raz od chwili przyjazdu dziękowała Bogu, że Jaśko był daleko, w Lipińcach.

Pożoga tymczasem hucząc odchodziła dalej a dalej; dzień zrobił się chmurny i groził deszczem. Świtaniem niektórzy ludzie poszli obejrzeć zgliszcza, ale niepodobna było zbliżyć się od gorąca.

Drugiego dnia sześciorożnica na kształt mgły zawisła w powietrzu, tak że człowiek człowieka o kilkanaście kroków nie mógł odróżnić. W nocy zaczął padać deszcz, który wkrótce przeszedł w strasliwą ulewę. Być może, że pożar wstrząsnąwszy atmosferą, przyczynił się do spędzenia chmur, ale prócz tego była to pora wiosenna, w czasie której na dalszym biegu Missisipi tudzież w widłach rzeki Arkansas i Czerwonej padają zwykle ogromne deszcze. Przyczynia się do tego i parowanie wód, które w Arkansas pokrywając w kształcie błot, małych jezior i strumieni kraj cały zwiększają się na wiosnę z powodu topnienia śniegów w dalekich górach. Cała polanka rozmiękła i zmieniała się stopniowo w wielką sadzawkę. Ludzie, moknąc po całych dniach, zaczęli chorować. Niektórzy znów opuścili osadę pragnąc się dostać do Clarcsville, ale powrócili wkrótce, przywożąc wieść, że rzeka wezbrała i że przejazd jest niepodobny. Położenie stawało się straszne, bo od przybycia osadników kończył się już miesiąc, zapasy mogły się wyczerpać, a dostać nowych z Clarcsville było niepodobieństwem.

Wawrzonowi tylko i Marysi mniej groził głód niż innym, czuwała bowiem nad nimi potężna ręka Czarnego Orlika. Co dzień rano przynosił im zwierzynę, którą albo strzelał, albo łapał we wnyki; na ścianie domu, na której leżał Wawrzon, Orlik ustawił swój namiot, by starego i Marysię od deszczu zabezpieczyć. Trzeba było przyjąć tę jego pomoc, którą prawie narzucił, i zobowiązać się do wdzięczności, bo zapłaty wziąć nie chciał, jeno ręki Marysinej żądał.

– Czy to ja jedna w świecie? – wypraszła się dziewczyna. Idź, in-szej sobie poszukaj, jako i ja miłuję innego.

Ale Orlik odpowiadał:

– Choćbym kraj świata schodził, drugiej takiej nie znajdę. Tyś mi jedna na świecie i musisz być moją. Co zrobisz, jak ci stary zemrze? Przyjdiesz do mnie, przyjdiesz sama, a ja cię wezmę jak wilk jagnię, w lasy zaniosę, aleć nie pożrę. Tyś moja! tyś jedyna! Kto mi cię zaprzeczy? Kogo ja się tu boję? Niech przyjeżdża twój Jaśko: chcę tego!

Co do Wawrzona, Orlik zdawał się mieć słuszość. Stary chorzał coraz bardziej, chwilami dostawał gorączki, mówił o grzechach swoich, o Lipińcach i o tym, że mu Bóg nie pozwoli ich zobaczyć. Marysia łązy łała i nad nim, i nad sobą. To, że jej Orlik obiecywał, iż byle mu ślubowała, to wróci z nią choćby do Lipiniec, było dla niej goryczą, nie pociechą. Wrócić do Lipiniec, gdzie był Jaśko, i wrócić cudzą za nic! Lepiej tu umrzeć pod pierwszym lepszym drzewem. Myślała, że tak skończy.

Tymczasem nowy dopust miał spaść na osadę.

Deszcz łał coraz większy. Pewnej głuchej nocy, gdy Orlik poszedł jak zwykle do boru, w taborze rozległ się krzyk przeraźliwy:

– Woda! woda!

Gdy ludzie przetarli ze snu oczy, ujrzeli w ciemności, jak okiem sięgnąć, jedną białą płaszczyznę, pluskającą pod deszczem i kołysaną wiatrem. Rozpierzchłe i przyćmione światło nocy połyskiwało stalowo na załamaniach i zmarszczkach fali. Od strony brzegu, gdzie sterczały pniaki, i od spalonego lasu słychać było szum i chlupotanie nowych fal, płynących jakoby z pędem wielkim.

Krzyk powstał w całym obozie. Kobiety i dzieci zaczęły się chronić na wozy, mężczyźni biegli co sił na zachodnią stronę polanki, gdzie drzewa nie były wycięte. Woda dochodziła im zaledwie do kolan, ale wzbierała szybko. Szum od strony lasu powiększał się i mieszał z okrzykami trwogi, z nawoływaniem imion i prośbami o ratunek. Wkrótce większe zwierzęta zaczęły się cofać przed parciem fali z miejsca na miejsce. Znać było, że gwałtowność prądu zwiększa się. Owce spływały i żalonym beczaniem wzywały na pomoc, póki nie znikły, niesione w stronę drzew. Deszcz łał jak z cebra i każda minuta stawała się coraz straszliwszą. Daleki szum zmienił się w ogromny gwar i huk rozwścieczonych fal. Wozy zaczęły drzeć pod ich uderzeniem. Znać było, że to nie zwykły zalew deszczowy, ale że rzeka Arkansas i wszystkie jej dopływy musiały wylać. Była to topiel, rwanie drzew z korzeniami, łamanie lasów, groza, rozpętanie się żywiołów, ciemność, śmierć.

Jeden z wozów, stojący najbliżej spalonego lasu, przewrócił się. Na rozzierający krzyk: „Ratunku!”, zamkniętych w nim kobiet, kilka ciemnych postaci męskich rzuciło się z drzew, ale fala porwała ratujących, okręciła i poniosła w las na zgubę. Na innych wozach chroniono się na płócienne dachy. Deszcz szumiał coraz większy, coraz większa ciemność padała na tę mroczną łąkę. Chwilami belka jaka z uczeptioną

ludzką postacią przemknęła, rzucana w górę i na dół, chwilami ciemny kształt zwierzęcia lub człowieka, czasem ręka wysunęła się z wody i zapadła w nią na zawsze.

Coraz wścieklejszy huk wód zgłuszył wszystko, i ryki tonących zwierząt, i wołania: „Jezu! Jezu! Maria!” Na łące potworzyły się wiry i koliska, wozy nikły...

A Wawrzon i Marysia? Ta ściana domu, na której stary chłop leżał pod Orlikowym namiotem, uratowała ich na razie, bo spłynęła jak tratwa. Fala okręciła ją wokół całej polanki i poniosła w stronę lasu, tam uderzyła nią o jedno drzewo, o drugie i wepchnąwszy wreszcie w łożysko strumienia poniosła w dal i ciemność.

Dziewczyna klęcząca przy starym ojcu podnosiła ręce do nieba, wzywając je na ratunek; ale odpowiadały jej tylko uderzenia fali dżdżystej, gnanej wiatrem...

Namiot zerwało... a i sama tratwa mogła rozbić się co chwila, bo i przed nią, i za nią płynęły pnie powyrywanych drzew, które mogły ją zgnieść lub podważyć.

Na koniec wpadła między gałęzie jakiegoś drzewa, którego czub było tylko widać z wody, ale w tej samej chwili z owego czuba doszedł głos ludzki:

– Weź karabin i przejdźcie na drugą stronę, by się tratwa nie przechyliła, jak zeskoczę...

Zaledwie oboje z Wawrzonem uczynili to, co im kazano, jakaś postać skoczyła z gałęzi na tratwę.

Był to Orlik.

– Maryś! – rzekł – jakom ci powiedział, że cię nie opuszczę. Boga mi! Ja was i z tej toni wyprowadzę.

Toporkiem, który miał przy sobie, uciął prostą gałąź z drzewa, obrobił ją w mgnieniu oka, potem wypchnął tratwę z gałęzi i począł wiosłować.

Wydostawszy się na właściwe łożysko strumienia płynęli z szybkością błyskawicy. Gdzie? nie wiedzieli, ale płynęli. Orlik od czasu do czasu odpychał pnie, gałęzie lub wykrecał tratwę, by omijać drzewo stojące. Olbrzymie siły jego zdawały się podwajać. Oko pomimo ciemności odkrywało każde niebezpieczeństwo. Upływała godzina za godziną. Każdy inny byłby padł ze zmęczenia, po nim nawet znać trudu nie było. Nad samym rankiem wydostali się z lasów, bo żadnego wierzchołka drzewa nie było widać na widnokręgu. Za to cała okolica wyglądała jak jedno morze. Potworne skręty żółtej i spienionej wody

zataczały się z rykiem po pustej płaszczyźnie. Tymczasem dniało coraz więcej. Orlik widząc, że żadnego pnia w pobliżu nie ma, przestał na chwilę wiosłować i odwrócił się do Marysi:

– Mojaś ty teraz, bom cię śmierci wydarł.

Głowa jego była odkryta, a twarz mokra i zarumieniona znojem, zagrzana walką z powodzią, miała taki wyraz siły, że Marysia po raz pierwszy nie śmiała mu odpowiedzieć, że innemu ślubowała.

– Maryś! – rzekł chłopak miękko – Maryś serdeczna!

– Dokąd płyniemy? – spytała chcąc zmienić rozmowę.

– Co mi tam! Byle z tobą... umiłowana...

– Wiosłuj, dopóki śmierć przed nami.

Orlik począł znowu wiosłować. Tymczasem Wawrzon czuł się gorzej i gorzej. Chwilami miał gorączkę, chwilami opuszczała go, ale słabnął. Za dużo już było cierpień na jego stare, sterane ciało. Zbliżał się kres i uspokojenie wielkie, ulga wieczysta. W samo południe obudził się i rzekł:

– Maryś! Już ja jutra nie doczekam. Oj! dziewczyno, dziewczyno! Bogdajbym nie był z Lipiniec wyjeżdżał i ciebie nie wywoził. Ale Bóg miłosierny! Nacierpiałem się niemało, to mi odpuści grzechy moje. Mnie pochowajta, jeśli będzieta mogli, a ciebie niech Orlik do starego pana do Nowego Jorku odprowadzi. To dobry pan, on zlituje się nad tobą i na drogę ci da i wrócisz do Lipiniec. Ja już nie wrócę. O Boże, Boże miłosierny, pozwólże duszy mojej jakby ptakowi tam polecieć i choćby zobaczyć!

Tu gorączka go ogarnęła i począł mówić: „Pod Twoją obronę uciekamy się, Święta Boża Rodzicielko!” Nagle krzyknął: „Nie wrzucajta mnie w wodę, bom nie pies”; a potem widocznie przypomniało mu się, jak chciał Marysię z nędzy topić, bo znowu wołał: „Dziecko, odpuść! odpuść! „

Ona biedaczka leżała u wezglowia ze łkaniem... Orlik wiosłował i łzy dusiły go za gardło...

Wieczorem wypogodziło się. Słońce w chwili zachodu pokazało się nad zalaną okolicą i odbiło się w wodzie długą, złocistą taśmą. Stary zaczął konać. Bóg jednak zmiłował się nad nim i dał mu śmierć pogodną. Z początku powtarzał żalonym głosem: „Odjechałem od Polski, od tamtej ziemi”, ale potem w obłędzie gorączki zdało mu się, że do niej wracał. Ot, widzi mu się, że stary pan z Nowego Jorku dał na drogę i na odkupno kolonii, więc oboje z Marysią jadą z powrotem. Są na oceanie, okręt płynie dzień i noc, majtkowie śpiewają. Potem widzi ten

port w Hamburgu, z którego wyjechał, miasta różne migają mu w oczach, mowa niemiecka brzmi naokoło, ale pociąg leci naprzód, więc Wawrzon czuje, że coraz bliżej jest domu, jakaś radość rozdyma mu pierś, jakieś powietrze inne, kochane zalatuje go od stron rodzinnych... Co to? Granica. Biedne chłopskie serce bije jak młotem... Jedźcie dalej! Boże, Boże! a to już i pola, i grusze Maćkowe... ich chałupy szare i kościoły. Tam chłop w baraniej czapce chodzi za pługiem. On ręce do niego z wagonu wyciąga. Gospodarzu, gospodarzu!... mówić nie może. Jadą dalej. A tam co? Miasto Przyrębłe, a za Przyrębłami Lipińce. Idą oboje z Marysią drogą i płaczą. Jest wiosna. Zboże kwitnie... chrabąszcze brzęczą w powietrzu... w Przyrębłach dzwonią na Anioł Pański... Jezu! Jezu! za co tyle szczęścia jemu grzesznemu? Jeszcze przez tę górkę, a tam już krzyż i drogowskaz, i lipiniecka granica. Już nie idą, ale... lecą jakby na skrzydłach, już są na górcie, przy krzyżu, przy drogowskazi. Chłop rzuca się na ziemię i ryczy ze szczęścia, i ziemię całuje, i czołgając się do krzyża obejmuje go rękoma: już jest w Lipińcach. Tak jest. On już w Lipińcach, bo tylko martwe jego ciało spoczywa na zabląkanej wśród powodzi tratwie, a dusza poleciała tam, gdzie jej szczęście i spokój.

Próżno dziewczyna zawodzi nad nim: „Tatulu, tatulu!” Biedna Marysiu, nie wróci on do ciebie! Jemu za dobrze w Lipińcach.

Nadeszła noc. Orlikowi wypadała już tyczka z ręki od wiosłowania i głód dokuczał. Marysia klęcząc nad ciałem ojca odmawiała przerywanym głosem pacierze, naokół aż do ostatnich krańców horyzontu widać było tylko topiel wodną.

Wpłynęli w łożysko jakiejś większej rzeki, bo prąd znowu szybko unosił tratwę. Niepodobna było nią kierować. Może to jednak były i wiry, kręcące się nad wklęsnięciami stepu, bo często niosło ich kołem. Orlik czuł, że go siły opuszczają, gdy nagle zerwał się na równe nogi i krzyknął:

– Na rany Chrystusa! Tam światło!

Marysia spojrzała w kierunku, w którym wyciągał rękę. Istotnie na dalekości błyskał jakoby ogieniek, z którego smuga odbijała się w wodzie.

– To łódź z Clarksville! – mówił szybko Orlik. – Jankesy wysłali ją na ratunek. Byle nas nie minęli... Maryś, uratuję cię. Hoop! hoop!

Jednocześnie wiosłował z największym wysileniem. Jakoż ogień rósł im w oczach, a w czerwonym jego świetle zarysowało się coś jak-

by wielka łódź. Była jeszcze bardzo daleko, ale zbliżali się. Po niejaki-
kim jednak czasie Orlik ujrzał, że łódź nie posuwa się naprzód.

Wpłynęli na wielki i szeroki prąd, idący w stronę przeciwną statku.

Nagle tyczka pękła z natężenia w Orlikowym ręku. Byli bez wiosła. Prąd odnosił ich coraz dalej, światło zmniejszało się. Na szczęście tratwa po kwadransie trafiła na drzewo stojące samotnie na stepie i uwięzła w jego gałęziach.

Zaczęli oboje wzywać krzykami pomocy, ale szum prądu głuszył ich głosy.

– Strzele – rzekł Orlik – światło zobaczą, huk usłyszą.

Ledwie pomyślał, już podniósł w górę lufę karabinu, ale zamiast strzału dało się słyszeć głuche kłapanięcie kurka o panewkę. Proch zamókł.

Orlik rzucił się na tratwę jak długi. Nie było rady. Przez chwilę leżał martwy; na koniec podniósł się i mówił:

– Maryś... Inną dziewczkę dawno bym ja wolą niewolą wziął i w lasy poniósł. Myślałem i z tobą tak zrobić, alem nie śmiał, bom cię umiłowiał. Chodziłem jak wilk sam po świecie i ludziska się mnie bali, a ja się ciebie zląkłem, i ot, Maryś, tyś mi chyba zadała co... Ale nie maszże ty mnie poślubić: lepsza śmierć! Wyratuję cię albo zginę; ale jeśli zginę, ty mnie, serdeczna, pożałuj i pacierz za mnie zmów. Com ci przewinił?... Krzywdym ci nie zrobił. Ej! Maryś, Maryś! bądź zdrowa, kochanie moje, słońce moje...

I nim się zmiarkowała, co chce czynić, rzucił się na wodę i począł płynąć. Przez chwilę widziała w ciemności jego głowę i ramiona prujące wodę mimo prądu, bo pływak był dzielny. Ale wkrótce zniknął jej z oczu. Płynął do łodzi po ratunek dla niej. Wartki pęd wody hamował jego ruchy, jakby go coś w tył ciągnęło, wydierał się i zdążał naprzód. Gdyby mógł wyminąć ten prąd, gdyby trafił na jaki inny, dopłynąłby z pewnością. Tymczasem mimo nadludzkich usiłowań z wolna tylko mógł się posuwać. Gęste, żółtawe wody rzucały mu częstokroć pianę w oczy, więc wznosił głowę, nabierał oddechu i wzrok wyteżał w ciemność, by dojrzeć, gdzie łódź ze światłem. Czasem gwałtowniejsza fala cofnęła go, czasem uniosła w górę, oddychał coraz trudniej, czuł, że kolana mu tężeją. Pomyślał: „Nie dopłynę”, ale wtem szepnęło mu coś w ucho, jakby kochany głos Marysi: „Ratuj mnie”, i znowu jął rozpaczliwie rozcinać wodę rękoma. Policzki jego wydymały się, usta wyrzucały wodę, oczy wychodziły na wierzch... Gdyby wrócił, jeszcze by z prądem dopłynął do tratwy, ale on nawet o tym nie myślał, bo światło

łodzi było bliżej i bliżej. Istotnie i łódź popłynęła ku niemu, niesiona tym samym prądem, z którym on walczył. Nagle uczył, że kolana i nogi zeszywniały mu zupełnie. Jeszcze kilka rozpaczliwych wysień... łódź coraz bliżej... „Pomocy! ratunku!...” Ostatni wyraz stłumiła woda, która zalała mu gardło. Zanurzył się. Fala przeszła nad jego głową, ale wypłynął znowu. Łódź tuż, tuż. Słyszy już plusk i chrobotanie wiosł o boki statku: ostatni raz natęża głos i wzywa pomocy. Dosłyszano go, bo plusk stał się szybszy. Ale Orlik zanurzył się znowu. Porwał go potworny wir... Przez chwilę jeszcze zaczerniał na fali, potem jedna tylko jego ręka wzniosła się nad wodę, potem druga, a potem zniknął w toplei...

Tymczasem Marysia sama na tratwie, tylko z trupem ojca, patrzyła jak błędna w dalekie światło.

Ale prąd niósł je ku niej. Zarysowała się łódź o kilkunastu wiosłach, które przy blasku ognia poruszały się jak czerwone nogi jakiegoś wielkiego robaka, Marysia poczęła krzyczeć rozpaczliwie.

– Hej, Smith! – ozwał się po angielsku jakiś głos. – Niech mnie powiesz, jeśli nie słyszałem wołania o pomoc i jeśli nie słyszę znowu.

Za chwilę silne ręce przeniosły Marysię do czółna, ale Orlika w tym czólnie nie było.

W dwa miesiące potem Marysia wyszła ze szpitala w Little-Rock i za pieniądze zebrane przez dobrych ludzi pojechała do Nowego Jorku.

A pieniędzy tych nie było dość. Część drogi musiałaby robić piechotą, jednakże mówiąc już trochę po angielsku umiała wyprosić sobie u konduktorów, że ją zabierali darmo. Wielu ludzi miało litość nad tą biedną, schorowaną, szerniałą dziewczyną, o wielkich niebieskich oczach, podobniejszą do cienia niż do człowieka i zebrzącą łzami o miłosierdzie. Nie ludzie też znęcali się nad nią, ale życie i jego warunki. Co w tym amerykańskim wirze, w tym olbrzymim „*businessie*” miał robić ten polny kwiatek lipiniecki? Jak sobie radzić? Wóz też tamtejszy musiał przejechać przez nią i zgnieść jej wątłe ciało, jak każdy wóz przejeżdża po kwiatach, co na jego drogę padły...

Wychudła, drżąca z osłabienia ręka targała za dzwonek przy Water-Street w Nowym Jorku. To Marysia szła szukać pomocy u starego pana, rodem spod Poznania.

Otworzył jej obcy jakiś, nie znany człowiek.

– Mister Złotopolski w domu?

– Kto to jest?

– Wiekowy pan. – Tu pokazała kartę.

- Umarł.
- Umarł? A syn... Pan Wiliam?
- Wyjechał.
- A panna Joanna?
- Wyjechała.

Drzwi zamknęły się przed nią. Siadła na progu i zaczęła sobie twarz ocierać. Była znowu w Nowym Jorku, sama, bez pomocy, bez opieki, bez pieniędzy, na woli Bożej.

Czy tam zostanie? Nigdy! Pójdzie oto do portu, do niemieckich doków podejmować pod nogi kapitanów i prosić, by ją zabrali, a jeśli się zmiłują, to o zebrany chleb przejdzie Niemcy i wróci do Lipiniec. Tam jej Jaśko. Ona prócz niego nie ma już nikogo na szerokim świecie. Jeśli on jej nie przygarnie, jeśli zapomniał, jeśli odepchnie, to chociaż umrze blisko niego.

Poszła do portu i czołgała się u nóg niemieckich kapitanów... Oni by ją zabrali; bo gdyby się tylko trochę odżywiła, byłaby z niej ładna dziewczyna. Oni by radzi, ale cóż? Prawa nie pozwalają... zresztą zgorzenie... Niech więc im da pokój.

Dziewczyna chodziła sypiać na ten sam pomost, na którym raz już spali z ojcem, owej pamiętnej nocy, gdy ją chciał topić. Żywiła się tym, co wyrzucała woda, jako się w Nowym Jorku z ojcem żywili. Szczęściem, lato było... ciepło...

Co dzień, ledwie rozedniało, już była przy niemieckich dokach zebrać łaski i co dzień na próżno. Ale miała wytrwałość chłopską. Tymczasem siły ją opuszczały. Czuła, że jeśli zaraz nie pojedzie, to niedługo umrze, jak pomarli wszyscy, z którymi ją dola wiązała.

Pewnego poranku przywlokła się z wysileniem i z tą myślą, że to chyba już ostatni raz, bo jutro sił nie starczy. Postanowiła nie prosić, jeno dostać się na pierwszy lepszy statek odchodzący do Europy i schować się gdzieś na dnie cichutko. Gdy już wypłyną i znajdą, przecież ją w wodę nie wrzucą, a wrzucą, to i cóż? Jedno jej, jak umierać, jeśli umierać trzeba. Ale przy mostku prowadzącym na okręt pilnowano dobrze wchodzących i strażnik odepchnął ją przy pierwszej próbie. Siadła tedy na palu przy wodzie i pomyślała sobie, że ją chyba gorączka chwyta. Jakoż zaczęła się uśmiechać i mrużyć:

– Jać dziedziczka, Jaśku, alem ci wiary dochowała. Cóż, ty mnie nie znasz?

Biedaczka dostała nie gorączki, ale obłąkania. Odtąd przychodziła codziennie do portu wyglądać Jaśka. Ludzie przyzwyczaili się do niej i

obdarzali czasem jałmużną. Ona dziękowała pokornie, uśmiechając się jak dziecko. Trwało tak ze dwa miesiące. Pewnego jednak razu nie przyszła do portu i odtąd nie widziano jej więcej. Gazeta tylko policyjna doniosła dnia następnego, że na samym krańcu portu znaleziono ciało zmarłej dziewczyny niewiadomego nazwiska i pochodzenia.

LATARNIK

I

Pewnego razu zdarzyło się, że latarnik w Aspinwall, niedaleko Panamy, przepadł bez wieści. Ponieważ stało się to wśród burzy, przypuszczano, że nieszczęśliwy musiał podejść nad sam brzeg skalistej wysepki, na której stoi latarnia, i został splukany przez bałwan. Przypuszczenie to było tym prawdopodobniejsze, że na drugi dzień nie znaleziono jego łódki, stojącej w skalistym wrębie. Zawakowało tedy miejsce latarnika, które trzeba było jak najprędzej obsadzić, ponieważ latarnia niemałe ma znaczenie tak dla ruchu miejscowego, jak i dla okrętów idących z New Yorku do Panamy. Zatoka Moskitów obfituje w piaszczyste ławice i zasy, między którymi droga nawet w dzień jest trudna, w nocy zaś, zwłaszcza wśród mgieł podnoszących się często na tych ogrzewanych podzwrotnikowym słońcem wodach, prawie nie podobna. Jedynym wówczas przewodnikiem dla licznych statków była światłość latarni. Kłopot wynalezienia nowego latarnika spadł na konsula Stanów Zjednoczonych, rezydującego w Panamie, a był to kłopot niemały, raz z tego powodu, że następcę trzeba było znaleźć koniecznie w ciągu dwunastu godzin; po wtóre, następca musiał być nadzwyczaj sumiennym człowiekiem, nie można więc było przyjmować byle kogo; na koniec, w ogóle kandydatów na posadę brakło. Życie na wieży jest nadzwyczaj trudne i bynajmniej nie uśmiecha się rozpróżnionym i lubiącym swobodną włóczęgę ludziom Południa. Latarnik jest niemal więźniem. Z wyjątkiem niedzieli nie może on wcale opuszczać swej skalistej wysepki. Łódź z Aspinwall przywozi mu raz na dzień zapasy żywności i świeżą wodę, po czym przywożący oddalają się natychmiast, na całej zaś wysepce, mającej morzę rozległości, nie ma nikogo. Latarnik mieszka w latarni, utrzymuje ją w porządku; w dzień daje znaki wywieszaniem różnokolorowych flag, wedle wskazówek barometru, w wieczór zaś zapala światło. Nie byłaby to wielka robota, gdyby nie to, że chcąc się dostać z dołu do ognisk na szczycie wieży, trzeba przejść przeszło czterysta schodów krętych i nader wysokich, latarnik

zaś musi odbywać tę podróż czasem i kilka razy dziennie. W ogóle jest to życie klasztorne, a nawet więcej niż klasztorne, bo pustelnicze. Nic też dziwnego, że Mr Izaak Falconbridge był w niemałym kłopotcie, gdzie znajdzie stałego następcę po nieboszczyku, i łatwo zrozumieć jego radość, gdy najniespodzianie następcą zgłosił się jeszcze tegoż samego dnia. Był to człowiek już stary, lat siedmiudziesiąt albo i więcej, ale czerstwy, wyprostowany, mający ruchy i postawę żołnierza. Włosy miał zupełnie białe, płeć spaloną jak u Kreolów, ale sądząc z niebieskich oczu, nie należał do ludzi Południa. Twarz jego była przynębiona i smutna, ale uczciwa. Na pierwszy rzut oka podobał się Falconbridge'owi. Pozostało go tylko wyegzaminować, wskutek czego wywiązała się następująca rozmowa:

- Skąd jesteście?
- Jestem Polak.
- Coście robili dotąd?
- Tułałem się.
- Latarnik powinien lubić siedzieć na miejscu.
- Potrzebuję odpoczynku.
- Czy służyliście kiedy? Czy macie świadectwa uczciwej służby

rządowej?

Stary człowiek wyciągnął z zanadru spłowiały jedwabny szmat, podobny do strzępu starej chorągwi. Rozwinął go i rzekł:

– Oto są świadectwa. Ten krzyż dostałem w roku trzydziestym. Ten drugi jest hiszpański z wojny karlistowskiej; trzeci to legia francuska; czwarty otrzymałem na Węgrzech. Potem biłem się w Stanach przeciw południowcom, ale tam nie dają krzyżów – więc oto papier.

Falconbridge wziął papier i zaczął czytać.

– Hm! Skawiński? To jest wasze nazwisko?... Hm!... Dwie chorągwie zdobyte własnoręcznie w ataku na bagnety... Byliście walecznym żołnierzem!

- Potrafię być i sumiennym latarnikiem.
- Trzeba tam co dzień wchodzić po kilka razy na wieżę. Czy nogi macie zdrowe?
- Przeszedłem piechotą „pleny”.
- *All right!* Czy jesteście obeznani ze służbą morską?
- Trzy lata służyłem na wielorybniku.
- Próbowaliście różnych zawodów?
- Nie zaznałem tylko spokojności.
- Dlaczego?

Stary człowiek ruszył ramionami.

– Taki los...

– Wszelako na latarnika wydajecie mi się za starzy.

– *Sir* – ozwał się nagle kandydat wzruszonym głosem. – Jestem bardzo znużony i skołatany. Dużo, widzicie, przeszedłem. Miejsce to jest jedno z takich, jakie najgoręcej pragnąłem otrzymać. Jestem stary, potrzebuję spokoju! Potrzebuję sobie powiedzieć: tu już będziesz siedział, to jest twój port. Ach, *Sir!* to od was tylko zależy. Drugi raz się może taka posada nie zdarzy. Co za szczęście, że byłem w Panamie... Błagam was... Jak mi Bóg miły, jestem jak statek, który jeśli nie wejdzie do portu, to zatonie... Jeśli chcecie uszczęśliwić człowieka starego... Przysięgam, że jestem uczciwy, ale... dość mam tego tułactwa...

Niebieskie oczy starca wyrażały tak gorącą prośbę, że Falconbridge, który miał dobre, proste serce, czuł się wzruszony.

– *Well!* – rzekł. – Przyjmuję was. Jesteście latarnikiem. Twarz staro zajaśniała niewypowiedzianą radością.

– Dziękuję.

– Czy możecie dziś jechać na wieżę?

– Tak jest.

– Zatem *good bye!*... Jeszcze słowo: za każde uchybienie w służbie dostaniecie dymisję.

– *All right!*

Tegoż samego jeszcze wieczora, gdy słońce stoczyło się na drugą stronę międzymorza, a po dniu promiennym nastąpiła noc bez zmierzchu, nowy latarnik widocznie był już na miejscu, bo latarnia rzuciła, jak zwykle, na wody swoje snopy jaskrawego światła. Noc była zupełnie spokojna, cicha, prawdziwie podzwrotnikowa, przesycona jasną mgłą, tworzącą koło księżyca wielki, zabarwiony tęczowo krąg o miękkich, nieujętych brzegach. Morze tylko burzyło się, ponieważ przyplływ wzbierał. Skawiński stał na balkonie, tuż koło olbrzymich ognisk, podobny z dołu do małego, czarnego punkciku. Próbował zebrać myśl i objąć swe nowe położenie. Ale myśl jego była nadto pod naciskiem, by mogła snuć się prawidłowo. Czuł on coś takiego, co czuje szczyty zwierz, gdy wreszcie schroni się przed pogonią na jakiejś niedostępnej skale lub w pieczarze. Nadszedł nareszcie dla niego czas spokoju. Poczucie bezpieczeństwa napełniło jakąś niewysłowioną rozkoszą jego duszę. Oto mógł na tej skale po prostu uragać dawnemu tułactwu, dawnym nieszczęściom i niepowodzeniom. Był on naprawdę jak okręt, któremu burza łamała maszty, rwała liny, żagle, którym rzu-

cała od chmur na dno morza, w który biła falą, pluła pianą – a który jednak zawinął do portu. Obrazy tej burzy przesuwały się teraz szybko w jego myśli w przeciwstawieniu do cichej przyszłości, jaka miała się rozpocząć. Część swych dziwnych kolei opowiadał sam Falconbridge'owi, nie wspominał jednak o tysiącnych innych przygodach. Miał on nieszczęście, że ilekroć rozbił gdzie namiot i rozniecił ognisko, by się osiedlić na stałe, jakiś wiatr wyrywał kołki namiotu, rozwiewał ognisko, a jego samego niósł na stracenie. Spoglądając teraz z wieżowego balkonu na oświecone fale, wspominał o wszystkim, co przeszedł. Oto bił się w czterech częściach świata – i na tułaczce próbował wszystkich niemal zawodów. Pracowity i uczciwy, nieraz dorabiał się grosza i zawsze tracił go wbrew wszelkim przewidywaniom i największej ostrożności. Był kopaczem złota w Australii, poszukiwaczem diamentów w Afryce, strzelcem rządowym w Indiach Wschodnich. Gdy w swoim czasie założył w Kalifornii farmę, zgubiła go susza; próbował handlu z dzikimi plemionami, zamieszkującymi wewnątrz Brazylii: trawa jego rozbiła się na Amazonce, on sam zaś bezbronny i prawie nagi tułał się w lasach przez kilka tygodni, żywiąc się dzikim owocem, narażony co chwila na śmierć w paszczy drapieżnych zwierząt. Założył warsztat kowalski w Helenie, w Arkansas, i – spalił się w wielkim pożarze całego miasta. Następnie w Górach Skalistych dostał się w ręce Indian i cudem tylko został wybawiony przez kanadyjskich strzelców. Służył jako majtek na statku kursującym między Bahią i Bordeaux, potem jako harpunnik na wielorybniku: oba statki rozbiły się. Miał fabrykę cygar w Hawanie – został okradziony przez współnika w chwili, gdy sam leżał chory na „vomito”. Wreszcie przybył do Aspinwall – i tu miał być kres jego niepowodzeń. Cóż go bowiem mogło doścignąć jeszcze na tej skalistej wysepce? Ani woda, ani ogień, ani ludzie. Zresztą od ludzi Skawiński niewiele doznał złego. Częściej spotykał dobrych niż złych.

Zdawało się natomiast, że prześladują go wszystkie cztery żywioły. Ci, co go znali, mówili, że nie ma szczęścia, i tym objaśniali wszystko. On sam wreszcie stał się trochę maniakiem. Wierzył, że jakaś potężna a mściwa ręka ściga go wszędzie, po wszystkich lądach i wodach. Nie lubił jednak o tym mówić; czasem tylko, gdy go pytano, czyja to miała być ręka, ukazywał tajemniczo na gwiazdę polarną i odpowiadał, że to idzie stamtąd... Rzeczywiście, niepowodzenia jego były tak stałe, że aż dziwne, i łatwo mogły zabić gwóźdź w głowie, zwłaszcza temu, kto ich doznawał. Zresztą miał cierpliwość Indianina i wielką spokojną siłę

oporu, jaka płynie z prawości serca. W swoim czasie na Węgrzech dostał kilkanaście pchnięć bagnietem, bo nie chciał chwycić za strzemień, które mu ukazywano jako środek ratunku, i krzyżeć: pardon. Tak samo nie poddawał się i nieszczęściu. Laź pod górę tak pracowicie jak mrówka. Zepchnięty sto razy, rozpoczynał spokojnie swoją podróż po raz setny pierwszy. Był to w swoim rodzaju szczególniejszy dziwak. Stary ten żołnierz, opalony Bóg wie w jakich ogniach, zahartowany w biedach, bity i kuty, miał serce dziecka. W czasie epidemii na Kubie zapadł na nią dlatego, że oddał chorym wszystką swoją chininę, której miał znaczny zapas, nie zostawiwszy sobie ani grama.

Było w nim jeszcze i to dziwnego, że po tylu zawodach zawsze był pełen ufności. Nie tracił nadziei, że jeszcze wszystko będzie dobrze. W zimie ożywiał się zawsze i przepowiadał jakieś wielkie wypadki. Czekał ich niecierpliwie i myślą o nich żył lata całe... Ale zimy mijały jedne za drugimi i Skawiński doczekał się tylko tego, że ubieliły mu głowę. Wreszcie zestarzał się – począł tracić energię. Cierpliwość jego poczyniała być coraz podobniejsza do rezygnacji. Dawny spokój zmienił się w skłonność do roztkliwiania się, i ten hartowny żołnierz jął przeradzać się w bekę, gotowego załzawić się z lada powodu. Prócz tego od czasu do czasu tłukła go najstraszliwsza nostalgia, którą podniecała lada okoliczność: widok jaskółek, szarych ptaków podobnych do wróbli, śniegi na górach lub zasłyszana jakaś nuta, podobna do słyszanej niegdyś... Na koniec opanowała go tylko jedna myśl: myśl spoczynku. Owładnęła ona starcem zupełnie i wchłonęła w siebie wszelkie inne pragnienia i nadzieje. Wieczny tułacz nie mógł już sobie wymarzyć nic bardziej upragnionego, nic droższego nad jaki spokojny ką, w którym by mógł odpocząć i czekać cicho kresu. Może właśnie dlatego, że szczególne jakieś dziwactwo losu rzucało nim po wszystkich morzach i krajach tak, że prawie nie mógł tchu złapać, wyobrażał sobie, że największym ludzkim szczęściem jest – tylko nie tułać się. Co prawda, to i należało mu się takie skromne szczęście, ale tak już był zwyczajny zawodów, że myślał o tym, jak w ogóle ludzie marzą o czymś niedoścignionym. Spodziewać się nie śmiał. Tymczasem niespodzianie w ciągu dwunastu godzin dostał posadę, jakby wybraną dla siebie ze wszystkich na świecie. Nic też dziwnego, że gdy wieczorem zapalił swoją latarnię, był jakby odurzony, że pytał sam siebie, czy to prawda, i nie śmiał odpowiedzieć: tak. A tymczasem rzeczywistość przemawiała do niego nieprzepartymi dowodami;

więc godziny jedna za drugą spływały mu na balkonie. Patrzył, nasycał się, przekonywał. Mogłoby się zdawać, że pierwszy raz w życiu widział morze, bo północ wybiła już na aspinwalskich zegarach, a on jeszcze nie opuszczał swojej powietrznej wyżyny – i patrzył. W dole pod jego stopami grało morze. Soczewka latami rzucała w ciemność olbrzymi ostrokrag światła, poza którym oko starca ginęło w dali czarnej zupełnie, tajemniczej i strasznej. Ale dal owa zdawała się biegnąć ku światłu. Długie wiorstowe fale wytaczały się z ciemności i rycząc szły aż do stóp wysepki, a wówczas widać było spienione ich grzbieity połyskujące różowo w świetle latarni. Przyływ wzmagał się coraz bardziej i zalewał piaszczyste ławice. Tajemnicza mowa oceanu dochodziła z pełni coraz potężniej i głośniejszej, podobna czasem do huku armat, to do szumu olbrzymich lasów, to do dalekiego, zmaconego gwaru głosów ludzkich. Chwilami cichło. Potem o uszy starca odbijało się kilka wielkich westchnień, potem jakieś łkania – i znów groźne wybuchy. Wreszcie wiatr zwał mgłę, ale napędził czarnych, poszarpanych chmur, które przysłaniały księżyc. Z zachodu poczynało dąć coraz mocniej. Bałwany skakały z wściekłością na urwisko latarni, obliżując już pianą i podmurowanie. W dali pomrukiwała burza. Na ciemnej, wzburzonej przestrzeni zabłysło kilka zielonych latarek powieszonych do masztów okrętowych. Zielone owe punkciki to wznosiły się wysoko, to zapadały w dół, to chwiały się na prawo i na lewo. Skawiński zeszedł do swej izby. Burza zaczęła wyć. Tam, na dworze, ludzie na owych okrętach walczyli z nocą, z ciemnością, z falą; w izbie zaś spokojnie było i cicho. Nawet odgłosy burzy słabo przedzierały się przez grube mury i tylko miarowe tik-tak! zegara kołysało utrudzonego starca jakby do snu.

II

Zaczęły płynąć godziny, dni i tygodnie... Majtkowie twierdzą, że czasem, gdy morze bardzo jest rozhukane, woła coś na nich wśród nocy i ciemności po nazwisku. Jeżeli nieskończoność morską może tak wołać, to być może, że gdy się człowiek zestarzeje, woła także na niego i inna nieskończoność, jeszcze ciemniejsza i bardziej tajemnicza, a im jest bardziej zmęczony życiem, tym miłsze są mu te nawoływania. Ale by ich słuchać, trzeba ciszy. Prócz tego starość lubi się odosabniać,

jakby w przeczuciu grobu. Latarnia była już dla Skawińskiego takim pół-grobem. Nic jednostajniejszego, jak podobne życie na wieży. Młodzi ludzie, jeśli się na nie godzą, to po pewnym czasie opuszczają służbę. Latarnik też bywa zazwyczaj człkiem niemłodym, posepnym i zamkniętym w sobie. Gdy wypadkiem porzuci swoją latarnię i dostanie się między ludzi, chodzi wśród nich jak człowiek zbudzony z głębokiego snu. Na wieży brak wszelkich drobnych wrażeń, które w zwykłym życiu uczą stosować wszystko do siebie. Wszystko, z czym styka się latarnik, jest olbrzymie i pozbawione zwartych, określonych kształtów. Niebo – to jeden ogół, woda – to drugi, a wśród tych nieskończoności samotna dusza ludzka! Jest to życie, w którym myśl jest raczej ciągłym zadumaniem się, a z tego zadumania nie budzi latarnika nic, nawet jego zajęcia. Dzień do dnia staje się podobny jak dwa paciorki w różańcu i chyba zmiany pogody stanowią jedyną różnicę. Skawiński jednak czuł się tak szczęśliwym, jak nigdy w życiu nie był. Wstawał świtanem, brał posiłek, czyścił soczewki latarni, a potem siadłszy na balkonie, wpatrywał się w dal morską i oczy jego nie mogły się nigdy nasycić obrazami, które przed sobą widział. Zwykle na olbrzymim, turkusowym tle widać było stada wydętych żagli, świecących w promieniach słońca tak mocno, że aż oczy mrużyły się pod nadmiarem blasku; czasem statki, korzystając z wiatrów, które pasatami zowią, szły wyciągniętym szeregiem jedno za drugimi, podobne do łańcucha mew lub albatrosów. Czerwone beczki, wskazujące drogę, kołysały się na fali lekkim, łagodnym ruchem; między żaglami pojawiał się co dnia w południe olbrzymi szarawy pióropusz dymu. To parowiec z New Yorku wiozł podróżnych i towary do Aspinwall, ciągnąc za sobą długi, spieniony szlak piany. Z drugiej strony balkonu widział Skawiński jak na dłoni Aspinwall i jego ruchliwy port, a w nim las masztów, łodzie i łódki; nieco zaś dalej białe domki i wieżyczki miasta. Z wysokości latarni domki były podobne do gniazd mew, łodzie do żuków, a ludzie poruszali się jak małe punkciki na białym, kamiennym bulwarku. Z rana lekki wschodni powiew przynosił zmieszany gwar życia ludzkiego, nad którym górował świst parowców. W południe nadchodziła godzina sjęsty. Ruch w porcie ustawał; mewy kryły się w szczyby skał, fale słabły i stawały się jakieś leniwe, a wówczas na lądzie, na morzu i na latarni nastawała chwila niezmaconej niczym ciszy. Żółte piaski, z których odpływały fale, lśniły na kształt złotych plam na obszarach wodnych; słup wieżowy odrzynał się twardo w błękicie. Potoki promieni słonecznych lały się z nieba na wodę, na piaski i na urwiska.

Wówczas i starca ogarniała jakaś niemoc, pełna słodyczy. Czuł, że ten odpoczynek, którego używa, jest wyborny, a gdy pomyślał, że będzie trwały, to mu już niczego nie brakło. Skawiński rozmarzał się własnym szczęściem, ale że człowiek łatwo oswaja się z lepszym losem, stopniowo nabierał wiary i ufności, myślał bowiem, że jeśli ludzie budują domy dla inwalidów, to dlaczegóżby Bóg nie miał wreszcie przygarnąć swego inwalidy? Czas upływał i utrwalał go w tym przekonaniu. Stary zżył się z wieżą, z latarnią, z urwiskiem, z ławicami piasku i samotnością. Poznał się także i z mewami, które niosły się w załamach skalnych, a wieczorem odprawiały wiece na dachu latarni. Skawiński rzucał im zwykle resztki swego jadła, tak zaś przyswoiły się wkrótce, że gdy to czynił potem, to otaczała go prawdziwa burza białych skrzydeł, stary zaś chodził między ptastwem, jak pastuch między owcami. W czasie odpływu wyprawiał się na niskie, piaszczyste ławice, na których zbierał smaczne ślimaki i piękne perłowe konchy żeglarków, które odpływająca fala osadzała na piasku. W nocy, przy świetle księżyca i latami, chodził na ryby, którymi roiły się załamy skalne. W końcu pokochał swoją skałę i swoją bezdrzewną wysepkę, porośniętą tylko drobnymi, tłustymi roślinkami, sączącymi lepka żywicę. Ubóstwo wysepki wynagradzały mu zresztą dalsze widoki. W południowych godzinach, gdy atmosfera stawała się bardzo przezroczystą, widać było całe międzymorze aż do Pacyfiku, pokryte najbujniejszą roślinnością. Skawińskiemu wydawało się wówczas, że widzi jeden olbrzymi ogród. Pęki kokosów i olbrzymich muz układały się jakby w przepyszne czubiaste bukiety, tuż zaraz za domami Aspinwallu. Dalej, między Aspinwall a Panamą, widać było ogromny las, nad którym co rano i pod noc zwieszał się czerwony opar wyziewów – las prawdziwie podzwrotnikowy, zalany u spodu stojącą wodą, oplątany lianami, szumiący jedną falą olbrzymich storczyków, palm, drzew mlecznych, żelaznych i gumowych.

Przez swą strażniczą lunetę stary mógł dojrzeć nie tylko drzewa, nie tylko rozłożyste liście bananów, ale nawet gromady małp, wielkich marabutów i stada papug wzbijające się czasem jak tęczowa chmura nad lasem. Skawiński znał z bliska podobne lasy, gdyż po rozbiciu się na Amazonce, błąkał się całe tygodnie wśród podobnych zielonych sklepień i gąszczów. Wiedział, ile pod cudną, śmiejącą się powierzchnią ukrywa się niebezpieczeństw i śmierci. Wśród nocy, jakie w nich spędził, słyszał z bliska grobowe głosy wyjców i ryki jaguarów, widział olbrzymie węże kołyszące się na kształt lianów na drzewach; znał owe

senne jeziora leśne, przepelnione drętami i rojące się od krokodyłów. Wiedział, pod jakim jarzmem żyje człowiek w tych niezgłębionych puszcach, w których pojedyncze liście przenoszą dziesięciokrotnie jego wielkość, w których mrowią się krwiożercze moskity, pijawki drzewne i olbrzymie jadowite pająki. Wszystkiego sam doznał, sam doświadczył, wszystko sam przecierpiał; toteż tym większą mu teraz sprawiało rozkosz patrzeć z wysokości na owe *matos*, podziwiać ich piękność, a być zasłoniętym od zrad. Jego wieża chroniła go przed wszelkim złem. Opuszczał ją też tylko czasami w niedzielę z rana. Przywdziewał wtedy granatową kapotę strażniczą ze srebrnymi guzami, na piersiach zawieszał swoje krzyże i jego mleczna głowa podnosiła się z pewną dumą, gdy słyszał przy wyjściu z kościoła, jak Kreole mówili między sobą: „Porządnego mamy latarnika.” –”I nie heretyk, chociaż Yankee!” Wracał jednak natychmiast po mszy na wyspę i wracał szczęśliwy, bo zawsze jeszcze nie dowierzał stałemu lądowi. W niedzielę także odczytywał sobie hiszpańską gazetę, którą zakupywał w mieście, lub new-yorskiego „Heralda”, pożyczanego u Falconbridge'a – i szukał w nich skwapliwie wiadomości z Europy. Biedne stare serce! Na tej wieży strażniczej i na drugiej półkuli biło jeszcze dla kraju... Czasem także, gdy łódź, przywożąca mu co dzień żywność i wodę, przybiła do wysepki, schodził z wieży na gawędę ze strażnikiem Johnsem. Potem jednak widocznie zdziczał. Przestał bywać w mieście, czytywać gazety i schodzić na polityczne rozprawy Johnsa. Upływały całe tygodnie w ten sposób, że nikt jego nie widział ani on nikogo. Jedynym znakiem, że stary żyje, było tylko znikanie żywności pozostawianej na brzegu i światło latarni, zapalane co wieczór z taką regularnością, z jaką słońce wstaje rankiem z wody w tamtych stronach. Widocznie stary zubożył dla świata. Powodem tego nie była nostalgia, ale właśnie to, że przeszła i ona nawet w rezygnację. Cały świat teraz zaczynał się dla starca i kończył się na jego wysepce. Zżył się już z myślą, że nie opuści wieży do śmierci, i po prostu zapomniał, że jest jeszcze coś poza nią. Przy tym stał się mistykiem. Łagodne, niebieskie jego oczy zaczęły być jak oczy dziecka, zapatrzone wiecznie i jakby utkwione w jakiejś dali. W ciągłym odosobnieniu i wobec otoczenia nadzwyczaj prostego a wielkiego począł stary tracić poczucie własnej odrębności, przestawał, istnieć jakoby osoba, a zlewał się coraz więcej z tym, co go otaczało. Nie rozumował nad tym, czuł tylko bezwiednie, ale w końcu zdawało mu się, że niebo, woda, jego skała, wieża i złote ławice piasku, i wydęte żagle, i mewy, odpływy i przyływy, to jakaś wielka-

jedność i jedna ogromna tajemnicza dusza; on zaś sam pogrąża się w tej tajemnicy i czuje ową duszę, która żyje i koi się. Zatonął, ukołysał się, zapamiętał – i w tym-ograniczeniu własnego, odrębnego bytu, w tym pół-czuwaniu, pół-śnie znalazł spokój tak wielki, że prawie podobny do pół-śmierci.

III

Ale nadeszło przebudzenie.

Pewnego razu, gdy łódź przywiozła wodę i zapasy żywności, Skawiński, zeszedłszy w godzinę później z wieży, spostrzegł, że prócz zwykłego ładunku jest jeszcze jedna paczka więcej. Na wierzchu paczki były marki pocztowe Stanów Zjednoczonych i wyraźny adres „Skawiński Esq.”, wypisany na grubym żaglowym płótnie. Rozciekawiony starzec przeciął płótno i ujrzał książki: wziął jedną do ręki, spojrzął i położył na powrót, przy czym ręce poczęły mu drżeć mocno. Przysłonił oczy, jakby im nie wierząc; zdawało mu się, że śni – książka była polska. Co to miało znaczyć?! Kto mu mógł przysłać książkę? W pierwszej chwili zapomniał widocznie, iż jeszcze na początku swej latarnicznej kariery przeczytał pewnego razu w pożyczonym od konsula „Heraldzie” o zawiązaniu polskiego Towarzystwa w New Yorku i że zaraz przesłał Towarzystwu połowę swej miesięcznej pensji, z którą zresztą nie miał co robić na wieży. Towarzystwo, wywdzięczając się, przysyłało książki. Przyszły one drogą naturalną, ale w pierwszej chwili starzec nie mógł pochwycić tych myśli. Polskie książki w Aspinwall, na jego wieży, wśród jego samotności, była to dla niego jakaś nadzwyczajność, jakieś tchnienie dawnych czasów, cud jakiś. Teraz wydało mu się, jak owym żeglarzom wśród nocy, że coś zawołało na niego po imieniu głosem bardzo kochanym, a zapomnianym prawie. Przesiedział chwilę z zamkniętymi oczyma i był prawie pewny, że gdy je otworzy, sen zniknie. Nie! Rozcięta paczka leżała przed nim wyraźnie, oświecona blaskiem popołudniowego słońca, a na niej otwarta już książka. Gdy stary wyciągnął znowu po nią rękę, słyszał wśród ciszy bicie własnego serca. Spojrzał: były to wiersze. Na wierzchu stał wypisany wielkimi literami tytuł, pod spodem zaś imię autora. Imię to nie było Skawińskiemu obce; wiedział, że należy ono do wielkiego poety, którego nawet i utwory czytywał po trzydziestym roku w Paryżu. Potem, wojując w Algerze i

w Hiszpanii, słyszał od rodaków o coraz wzrastającej sławie wielkiego wieszca, ale tak przywykł wówczas do karabina, że i do ręki nie brał książek. W czterdziestym dziewiątym roku wyjechał do Ameryki i w awanturycznym życiu, jakie prowadził, prawie nie spotykał Polaków, a nigdy książek polskich. Z tym większą też skwapliwością i z tym żywiej bijącym sercem przewrócił kartę tytułową. Zdało mu się teraz, że na jego samotnej skale poczyna się dzieć coś uroczystego. Jakoż była to chwila wielkiego spokoju i ciszy. Zegary aspinwalskie wybiły piątą po południu. Jasnego nieba nie zaciemniała żadna chmurka, kilka mew tylko pławiło się w błękitach. Ocean był ukołysany. Nadbrzeżne fale zaledwie bełkotały z cicha, rozpluwając się łagodnie po piaskach. W dali śmiały się białe domy Aspinwallu i cudne grupy palm. Naprawdę było jakoś uroczyście a cicho i poważnie. Nagle wśród tego spokoju natury rozległ się drżący głos starego, który czytał głośno, by się samemu lepiej rozumieć:

Litwo, ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie!
Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,
Kto cię stracił. Dziś piękność twą w całej ozdobie
Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie...

Skawińskiemu zbrakło głosu. Litery poczęły mu skakać do oczu; w piersi coś urwało się i szło na kształt fali od serca wyżej i wyżej, tłumiąc głos, ściskając za gardło... Chwila jeszcze, opanował się i czytał dalej:

Panno Święta, co jasnej bronisz Częstochowy
I w Ostrej świecisz Bramie! Ty, co gród zamkowy
Nowogrodzki ochraniasz z jego wiernym ludem!
Jak mnie, dziecko, do zdrowia powróciłaś cudem
(Gdy od płaczącej matki pod Twoją opiekę
Ofiarowany, martwą podniosłem powiekę
I zaraz mogłem pieszo do Twych świątyń progu
Iść, za zwrócone życie podziękować Bogu),
Tak nas powrócisz cudem na Ojczyzny łono...

Wezbrana fala przerwała tamę woli. Stary ryknął i rzucił się na ziemię; jego mleczne włosy zmieszały się z piaskiem nadmorskim. Oto czterdzieści lat dobiegało, jak nie widział kraju, i Bóg wie ile, jak nie słyszał mowy rodzinnej, a tu tymczasem ta mowa przyszła sama do niego – przepłynęła ocean i znalazła go, samotnika; na drugiej półkuli,

taka kochana, taka droga, taka śliczna! We łkaniu, jakie nim wstrząsało, nie było bólu, ale tylko nagle rozbudzona niezmierna miłość, przy której wszystko jest niczym... On po prostu tym wielkim' płaczem przeproszał tę ukochaną, oddaloną za to, że się już tak zestarzał, tak zżył z samotną skałą i tak zapamiętał, iż się w nim i tęsknota poczyniała zacierać. A teraz „wracał cudem” – więc się w nim serce rwało. Chwile mijaly jedna za drugą: on wciąż leżał. Mewy przyleciały nad latarnię, pokrzykując, jakby niespokojne o swego starego przyjaciela. Nadchodziła godzina, w której je karmił resztkami swej żywności, więc kilka z nich zleciało z wierzchu latarni aż do niego. Potem przybyło ich coraz więcej i zaczęły go dziobać lekko i furkotać skrzydłami nad jego głową. Szumy skrzydeł zbudziły go. Wypłakawszy się, miał teraz w twarzy jakiś spokój i rozpromienienie, a oczy jego były jakby natchnione. Oddał bezwiednie całą swoją żywność ptakom, które rzuciły się na nią z wrzaskiem, a sam wziął znowu książkę. Słońce już było przeszło nad ogrodami i nad dziewiczym lasem Panamy i staczało się zwolna za międzymorze, ku drugiemu oceanowi, ale i Atlantyk był jeszcze pełen blasku, w powietrzu widno zupełnie, więc czytał dalej:

Tymczasem przenoś duszę moją utęsknioną
Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych....

Zmierzch dopiero zatarł litery na białej karcie, zmierzch krótki jak mgnienie oka. Starzec oparł głowę o skałę i przymknął oczy. A wówczas „Ta, co jasnej broni.Częstochowy”, zabrała jego duszę i przeniosła „do tych pól, malowanych zbożem rozmaitym”. Na niebie paliły się jeszcze długie szlaki czerwone i złote, a on w tych światłościach leciał ku stronom kochanym. Zaszumiały mu w uszach lasy sosnowe, zabełkotały rzeki rodzinne. Widzi wszystko, jak było. Wszystko go pyta: „Pamiętasz?” On pamięta! a zresztą widzi: pola przestronne, miedze, łąki, lasy i wioski. Noc już! O tej porze już zwykle jego latarnia rozświecała ciemności morskie – ale teraz on jest we wsi rodzinnej. Stara głowa pochyla się na piersi i śni. Obrazy przesuwają się przed jego oczyma szybko i trochę beładnie. Nie widzi domu rodzinnego, bo starła go wojna, nie widzi ojca ani matki, bo go odumarli dzieckiem; ale zresztą wieś, jakby ją wczoraj opuścił: szereg chałup ze światełkami w oknach, grobla, młyn, dwa stawy, podane ku sobie i brzmiące całą noc chórami żab. Niegdyś w tej swojej wiosce stał nocą na wiedecie, teraz przeszłość ta podstawia się nagle w szeregu widzeń. Oto znowu jest ułanem i stoi na wiedecie: z dala karczma pogląda płonącymi oczyma i

brzmi, i śpiewa, i huczy wśród ciszy nocnej tupotaniem, głosami skrzypiec i basetli: „U-ha! U-ha!” To ułany krzeszą ognia podkówkami, a jemu tam nudno samemu na koniu! Godziny wloką się leniwo, wreszcie światła gasną; teraz, jak okiem sięgnąć, mgła i mgła nieprzejrzana: opar widocznie podnosi się z łąk i obejmuje świat cały białawym tumanem. Rzekłbyś: zupełnie ocean. Ale to łąki: rychło czekać, jak derkacz ozwie się w ciemności i bąki zahuczą po trzcinach. Noc jest spokojna i chłodna, prawdziwie polska noc! W oddali bór sosnowy szumi bez wiatru... jak fala morska. Wkrótce świtanie.wschód ubieli: jakoż i kury pieją już w zapłociach. Jeden drugiemu podaje głos z chaty do chaty; wraz i żurawie krzyczą już gdzieś z wysoka. Ułanowi jakoś rzeško, zdrowo. Coś fam gadali o jutrzejszej bitwie. Hej! to i pójdzie, jak pójda inni, z krzykiem i furkotaniem chorągiewek. Młoda krew gra jak trąbka, choć powiew nocny ją chłodzi. Ale już świta, świta! Noc blednie: z cienia wychylają się lasy, zarośla, szereg chałup, młyn, topole. Studnie skrzypią, jakby blaszana chorągiewka na wieży. Jaka ta ziemia kochana, śliczna w różowych blaskach jutrzni! Oj jedyna, jedyna!

Cicho! Czujna wideta słyszy, że się ktoś zbliża. Zapewne idą zluzować warty.

Nagle jakiś głos rozlega się nad Skawińskim:

– Hej, stary! wstawajcie. Co to wam? Stary otwiera oczy i patrzy ze zdziwieniem na stojącego przed sobą człowieka. Resztki snu widzeń walczą w jego głowie z rzeczywistością. Wreszcie widzenia bledną i nikną. Przed nim stoi Johns, strażnik portowy.

– Co to? – pyta Johns – chórzyście?

– Nie.

– Nie zapaliliście latarni. Pójdziecie precz ze służby. Łódź z San-Geromo rozbiła się na mieliźnie, szczęściem, nikt nie utonął; inaczej, poszlibyście pod sąd. Siadajcie ze mną, resztę usłyszycie w konsulacie. Stary pobladł: istotnie nie zapalił tej nocy latarni. W kilka dni później widziano Skawińskiego na pokładzie statku idącego z Aspinwall do New Yorku. Biedak stracił posadę. Otwierały się przed nim nowe drogi tułactwa; wiatr porywał znowu ten liść, by nim rzucać po lądach i morzach, by się nad nim znęcać do woli. Toteż stary przez te kilka dni posunął się bardzo i pochylił; oczy miał tylko błyszczące. Na nowe zaś drogi życia miał także na piersiach swoją książkę, którą od czasu do czasu przyciskał ręką, jakby w obawie, by mu i ona nie zginęła...

SACHEM

W mieście Antylopie, położonym nad rzeką tegoż nazwiska, w stanie Teksas, spieszył kto żyw na przedstawienie cyrkowe. Zajęcie mieszkańców było tym większe, że od czasu założenia miasta pierwszy raz zjechał do niego cyrk tancerek, minstreli i linochodów. Miasto było niedawne. Piętnaście lat temu nie tylko nie stał tu ani jeden dom, ale w całej bliższej okolicy nie było białych. Natomiast w widłach rzeki, na tym samym miejscu, na którym stoi Antylopa, wznosiła się osada indyjska zwana Chiavatta. Była to stolica Czarnych Wężów, którzy w swoim czasie dali się tak we znaki granicznym osadom niemieckim, Berlinowi, Grundenau i Harmonii, że osadnicy dłużej nie mogli wytrzymać. Indianie bronili wprawdzie tylko swego „terytorium”, które rząd stanowy Teksasu przyznał im na wieczne czasy najuroczystszyimi traktatami; ale cóż to mogło obchodzić kolonistów z Berlina, Grundenau i Harmonii? Pewnym jest, że odbierali oni Czarnym Wężom ziemię, wodę i powietrze, ale natomiast wnosili cywilizację; czerwono-skórzy zaś okazywali im wdzięczność na swój sposób, to jest zdzierając im skalpy z głów. Taki stan rzeczy nie mógł trwać. Osadnicy więc z Berlina, Grundenau i Harmonii zebrali się pewnej nocy księżycowej w liczbie czterechset i wezwawszy na pomoc Meksykanów z La Ora, napadli na uśpioną Chiavattę. Tryumf dobrej sprawy był zupełny. Chiavatta została spalona, a mieszkańcy bez różnicy wieku i płci w pień wycięci. Ocalały tylko małe oddziały wojowników, które w tym czasie wyszły na łowy. Z samego miasta nie ocalał się nikt, głównie dlatego że miasto leżało w widłach rzeki, która, jak zwykle na wiosnę, rozlawszy otoczyła osadę nieprzebytą tonią wód. Ale toż samo widlaste położenie, które zgubiło Indian, podobało się Niemcom. Z wideł źle uciekać, ale dobrze się w nich bronić. Dzięki tej myśli zaraz z Berlina, Grundenau i Harmonii rozpoczęła się emigracja do wideł, w których też w mgnieniu oka, na miejscu dzikiej Chiavatty, powstała ucywilizowana Antylopa. W pięć lat liczyła ona dwa tysiące mieszkańców.

Szóstego roku znaleziono z drugiej strony wideł kopalnię żywego srebra, którego eksploatacja podwoiła liczbę mieszkańców. W siódmym roku, z mocy prawa *lynch* powieszono na placu miejskim dzie-

więtnastu ostatnich wojowników z pokolenia Czarnych Wężów, schwytanych w pobliskim Lesie Umarłych – i odtąd nic nie stało na zawadzie rozwojowi Antylopy. W mieście wychodziły dwa „Tagblat-ty” i jedna „Montagsrevue”. Kolej żelazna łączyła je z Rio del Norte i San Antonio; na Opuncia-Gasse wznosiły się trzy szkoły, z tych jedna wyższa. Na placu, na którym powieszono ostatnich Czarnych Wężów, zbudowano zakład filantropijny; pastorowie w kościołach uczyli co niedziela miłości bliźniego, poszanowania cudzej własności i innych cnót, potrzebnych ucywilizowanemu społeczeństwu; pewien przejezdny prelegent miał nawet raz na Kapitolu odczyt *O prawach narodów*.

Bogatsi mieszkańcy przebąkaliwali o potrzebie założenia uniwersy-
tetu, do czego i rząd stanowy musiałby się przyczynić. Mieszkańcom
dobrze się działo. Handel żywym srebrem, pomarańczami, jęczmie-
niem i winem przynosił im znakomite zyski. Byli uczciwi, rządni, prac-
cowici, systematyczni, otyli. Kto by w późniejszych czasach odwiedził
już kilkunastotysięczną Antylope, ten by w bogatych kupcach miej-
scowych nie poznał tych niemiłosiernych wojowników, którzy piętna-
ście lat temu spalili Chiavattę. Dzień schodził im po sklepach, warszta-
tach, biurach; wieczory spędzali w piwiarni „Pod Złotym Słońcem”
przy ulicy Grzechotników. Słuchając tych głosów trochę powolnych i
gardłowych, tych: *Mahlzeit! Mahlzeit!*, tych flegmatycznych: *Nun ja
wissen Sie, Herr Muller, is des aber möglich?*, tych dźwięków kufli,
szumu piwa, tych plusków przelanej piany na podłogę, widząc ten spo-
kój, powolność, patrząc na te filisterskie, zalane tłuszczem twarze, na te
rybie oczy, można by mniemać, iż się jest w jakiej piwiarni w Berlinie
lub Monachium, nie zaś na zgliszczach Chiavatty. Ale w mieście
wszystko już było *ganz gemutlich* i o zgliszczach nikt nie myślał. Tego
wieczora ludność spieszyła oto do cyrku, raz dlatego, że po twardej
pracy rozrywka jest rzeczą równie godziwą jak przyjemną, po wtóre, że
mieszkańcy dumni byli z jego przyjazdu. Wiadomo, że cyrki nie zjeżd-
żają do lada miejsciny, przybycie więc trupy Hon. M. Deana stwierd-
dzało poniekąd wielkość i znaczenie Antylopy. Była jednak i trzecia, a
może najważniejsza przyczyna ogólnej ciekawości.

Oto Nr 2 programu mówił, co następuje: „Spacer na drucie zawie-
szonym na piętnaście stóp nad ziemią (z towarzyszeniem muzyki) wy-
kona słynny gimnastyk Czerwony Sęp, sachem (wódz) Czarnych Wę-
żów, ostatni potomek królów pokolenia i ostatni z pokolenia: 1) Spacer.
2) Skoki Antylopy. 3) Taniec i pieśń śmierci.” Jeżeli gdzie, to w Anty-
lopie ten sachem mógł obudzać najwyższe zajęcie. Hon. M. Dean opo-

wiadał „Pod Złotym Słońcem”, iż przed piętnastu laty, w przejeździe do Santa Fe, znalazł na Planos de Tornado umierającego starego Indianina z dziesięcioletnim chłopakiem. Stary umarł istotnie z ran i wyścieńczenia, przed śmiercią jednak opowiedział, iż młody chłopiec był synem zabitego „sachema” Czarnych Wężów i następcą jego godności.

Trupa przygarnęła sierotę, który z czasem stał się pierwszym jej akrobatą. Zresztą Hon. M. Dean dopiero „Pod Złotym Słońcem” dowiedział się, że Antylopa była niegdyś Chiavattą – i że słynny linochód będzie się popisywał na grobach ojców. Wiadomość ta wprowadziła dyrektora w doskonały humor, mógł bowiem teraz na pewno liczyć na *great attraction*, byle umiał tylko dobrze efekt wyzyskać. Rozumie się, że filistry z Antylopy cisnęli się do cyrku, aby importowanym z Niemiec żonom i synom, którzy ani razu w życiu nie widzieli Indianina, pokazać ostatniego z Czarnych Wężów i powiedzieć: „Patrzcie, oto takich w pień wyrzneliśmy przed laty piętnastu.” *Ach, Herr Jeh!* – Miło jest usłyszeć taki wykrzyk podziwu zarówno z ust Amalchen, jak i małego Fryca. W całym też mieście powtarzano bez ustanku: Sachem, sachem!

Dzieci od rana zaglądały przez szpary w deskach, z twarzami rozciekawionymi i przerażonymi zarazem, starsi zaś chłopcy, ożywieni już bardziej wojowniczym duchem, wracając ze szkoły maszerowali groźnie, sami nie wiedząc, dlaczego to robią. Godzina ósma wieczór. Noc cudna, pogodna, gwiazdzista. Powiew zza miasta przynosi zapachy gajów pomarańczowych, które w mieście mieszają się z zapachem siodu. W cyrku bije luna światła. Ogromne smolne pochodnie, zatknięte przed główną bramą, palą się i kopcą. Powiew chwieje pióropuszcami dymu i jaskrawego płomienia, który oświeca ciemne kontury budowli. Jest to świeżo wzniesiona szopa drewniana, okrągła, ze śpiczastym dachem i z gwiazdzistą amerykańską chorągwią na szczycie. Przed bramą tłumy, które nie mogły się dostać lub nie miały za co kupić biletów, przypatrują się wozom trupy, a głównie płóciennej zasłonie wielkich drzwi wchodowych, na których wymalowana jest bitwa białych z czerwonoskórymi. W chwilach, w których zasłona się uchyla, widać oświecone wnętrza bufetu z setkami kufla szklanych na stole. Ale oto ściągają zasłonę na dobre, i tłum wchodzi. Puste przejścia między ławkami poczynają tętnić krokami ludzkimi, i wkrótce ciemna, ruchliwa masa pokrywa wszystkie przejścia od góry do dołu. W cyrku widno jak w dzień, bo chociaż nie zdołano przeprowadzić do niego rur gazowych, to natomiast olbrzymi żyrandol, złożony z pięćdziesięciu lamp nafto-

wych, oblewa arenę i widzów potokami światła. W tych blaskach wi-
dać opasłe, przechylone w tył dla folgi podbródkom głowy piwoszków,
młode twarze kobiece i śliczne, zdziwione buzie dziecinne, których
oczy niemal nie wychodzą na wierzch z ciekawości. Zresztą wszyscy
widzowie mają miny ciekawe, zadowolone i głupie, jak zwykle pu-
bliczność cyrkowa. Wśród szmeru rozmów, przerywanych okrzykami:
Frisch Wasser! frisch Bier! – wszyscy z niecierpliwością oczekują za-
częcia. Na koniec dzwonek się odzywa, ukazuje się sześciu masztale-
rzy w palonych butach i staje w dwóch szeregach przy wejściu z areny
do stajen. Przez te szeregi wpada rozhukany koń bez uzdy i siodła, a na
nim jakby obłok muślinu, wstążek i tiulu. Jest to tancerka Lina. Rozpo-
czynają się harce przy odgłosie muzyki. Lina jest tak piękna, że młoda
Mathilde, córka piwowara z Opuncia-Gasse, zaniepokojona jej wido-
kiem, pochyla się do ucha młodego grocernika Flossa z tejże ulicy i
pyta z cicha: czy ją kocha jeszcze? Tymczasem koń galopuje i oddycha
jak lokomotywa, bicze klaskają, błazny, których kilku wpadło za tan-
cerką, wrzeszczą i biją się po twarzach, tancerka miga jak błyskawica;
brawa się sypią. Co za przepyszne Przedstawienie! Ale Nr 1 mija pręd-
ko. Nadchodzi Nr 2.

Wyraz: *sachem! sachem!* przebiega z ust do ust między widzami.
Na błaznów, bijących się ciągle po twarzach, nikt już nie zważa. Wśród
ich małpich ruchów masztalerze wnoszą wysokie na kilkanaście stóp
drewniane kozły i stawiają po dwóch stronach areny. Muzyka przestaje
grać *Yankee Doodle*, a gra posępną arię Komandora z *Don Juana*, za-
ciągają drut między kozłami. Nagle snop czerwonego bengalskiego
światła pada od strony wejścia i oblewa krwawym blaskiem całą arenę.
W tym to blasku ukaże się straszliwy *sachem*, ostatni z Czarnych Wę-
żów. Ale cóż to?... Wchodzi nie *sachem*, jeno sam dyrektor trupy, Hon.
M. Dean. Kłania się publiczności i zabiera głos. Ma on zaszczyt prosić
„łaskawych i szanownych gentlemanów oraz piękne i niemniej sza-
nowne *ladies* o nadzwyczaj spokojne zachowywanie się, niedawanie
brawa i zupełną ciszę, albowiem wódz jest nadzwyczaj rozdrażniony i
dzikszy niż zwykle”. Słowa te sprawiają niemałe wrażenie – i dziwna
rzecz, ci sami *honoratiores* Antylopy, którzy przed piętnastu laty wy-
cięli Chiawatę, doznają teraz jakiegoś nader niemiłego uczucia. Przed
chwilą, gdy piękna Lina wykonywała swe skoki na koniu, cieszyli się,
że siedzą tak blisko, tuż koło parapetu, skąd tak dobrze można wszyst-
ko widzieć, a teraz spoglądają z pewnym utęsknieniem na górne sfery
cyrkowe i wbrew prawom fizyki znajdują, że im niżej, tym duszniej.

Ale ten sachem czyżby jeszcze pamiętał? Przecież wychował się od młodych lat w trupie Hon. M. Deana, złożonej przeważnie z Niemców. Czyżby jeszcze nie zapomniał? Wydawało się to nieprawdopodobnym. Otoczenie i piętnaście lat zawodu cyrkowego, pokazywania sztuk, zbierania oklasków musiały wyrzucić swój wpływ.

Chiavatta, Chiavatta! A toż oni, Niemcy, także są nie na swojej ziemi, daleko od ojczyzny, i nie myślą o niej więcej niż na to business pozwala. Przede wszystkim trzeba jeść i pić. O tej prawdzie musi pamiętać tak dobrze każdy filister, jak i ostatni z Czarnych Węzów.

Rozmyślenia te przerywa nagle jakiś dziki świst w stajniach – i na arenie ukazuje się oczekiwany niespokojnie sachem. Słysząc krótki pomruk cizby: „To on! to on!” – i potem cisza. Syczy tylko bengalski ogień, który przy wejściu pałą ciągle. Wszystkie spojrzenia kierują się na postać wodza, który oto ma wystąpić w cyrku na grobach ojców. Indianin zasługuje rzeczywiście, by nań patrzono. Wydaje się dumny jak król. Płaszcz z białych gronostajów – oznaka wodza – pokrywa jego wyniosłą postać i tak dziką, że przypomina źle oswojonego jaguara. Twarz ma jakby wykutą z miedzi, podobną do głowy orła, a w tej twarzy świecą zimnym blaskiem oczy prawdziwie indyjskie, spokojne, niby obojętne – a złowrogie. Wodzi on nimi po zgromadzeniu, jakby chciał sobie upatrzeć ofiarę. Bo zresztą uzbrojony jest od stóp do głów. Na głowie jego chwieją się pióra, za pasem ma topór i nóż do skalpowania, w ręku tylko zamiast łuku trzyma długi drąg, który służy do chwywania równowagi podczas chodzenia po drucie. Zatrzymawszy się na środku sceny, nagle wydaje okrzyk wojenny. *Herr Gott!* to okrzyk Czarnych Węzów. Ci, którzy wycinali Chiavattę, pamiętają dobrze to straszne wycie – i co dziwniejsza, ci, którzy przed piętnastu laty nie ulekli się tysiąca tak wyjących wojowników, pocą się teraz przed jednym. Ale oto dyrektor zbliża się do wodza i mówi do niego, jakby chciał go ułagodzić i uspokoić. Dziki zwierz uczuł munsztuk – namowa skutkuje, bo po chwili sachem kołysze się już na drucie. Zapatrzony w żyrandol naftowy, postępuje naprzód. Drut ugina się silnie; chwilami nie widać go wcale, a wtedy Indianin zdaje się wisieć w powietrzu. Idzie jakby pod górę; jeszcze postępuje naprzód, cofa się i znów idzie chwytając równowagę. Wyciągnięte jego ręce, pokryte płaszczem, wyglądają jak olbrzymie skrzydła. Chwieje się!... pada! – nie! Krótkie, urwane brawo zrywa się jak wichur i milknie. Twarz wodza staje się coraz groźniejsza. W jego wzroku utkwionym w lampy naftowe błyszczą jakieś straszne światło. W cyrku niepokój, ale ciszy nikt nie prze-

rywa. Tymczasem sachem zbliża się do drugiego końca drutu – staje – i niespodzianie z ust jego wyrwa się pieśń wojenna.

Szczególne rzecz! Wódz śpiewa po niemiecku. Ale łatwo to zrozumieć. Pewno zapomniał języka Czarnych Wężów. Zresztą nikt na to nie zważa. Wszyscy słuchają pieśni, która wzmacnia się i potężnieje. Jest to pół śpiew, pół jakieś wołanie niezmiernie żałobne, dzikie i chrapliwe, pełne drapieżnych akcentów.

Słychać słowa następujące: „Po wielkich deszczach, co rok pięćset wojowników wychodziło z Chiavatty na ścieżki wojny lub na wielkie łowy wiosenne. Gdy wracali z wojny, zdobyli ich skalpy; gdy wracali z łowów, przywozili mięso i skóry bawole, a żony witały ich z radością i tańczyły na cześć Wielkiego Ducha.

Chiavatta była szczęśliwa! Niewiasty pracowały w wigwamach, dzieci wyrastały na piękne dziewczęta i dzielnych wojowników. Wojownicy umierali na polu sławy i szli polować z duchami ojców do Srebrnych Gór. Topory ich nie broczyły się nigdy w krwi niewiast i dzieci, bo wojownicy Chiavatty byli szlachetnymi mężami. Chiavatta była potężną. Aż przyszły blade twarze zza mórz dalekich i wrzuciły ogień do Chiavatty. Błazi wojownicy nie pokonali Czarnych Wężów w boju, ale zakradli się nocą jak szakale i noże ich zboczyły się w piersiach uśpionych mężów, niewiast i dzieci.

I oto nie ma Chiavatty, bo na ich miejsce biali wzniesli swoje kamienne wigwamy. Wymordowane pokolenie i zniszczona Chiavatta wołają o zemstę.”

Głos wodza stał się chrapliwy. Teraz, kołysząc się na

tym drucie, wydawał się jak jakiś czerwony archanioł zemsty, unoszący się nad głowami ciżby ludzkiej. Sam dyrektor widocznie był zaniepokojony. W cyrku zrobiła się śmiertelna cisza. Wódz wył dalej:

„Z całego pokolenia zostało jedno dziecko. Było ono małe i słabe, ale przysięgło duchowi ziemi, że się zemści. Że ujrzy trupy białych mężów, niewiast, dzieci – pożogę, krew....” Ostatnie słowa zmieniły się w ryk wściekłości. Po cyrku poczęły się zrywać szmery podobne do nagłych powiewów wichru. Tysiące pytań bez odpowiedzi cisnęło się do głów. Co zrobi ten wściekły tygrys? co zapowiada? jak dokona zemsty? – on? – sam jeden? – zostać czy uciekać? czy się bronić – i jak? – *Was ist das? was ist das?* – rozległy się wystraszone głosy kobiece.

Nagle nieludzkie wycie wyrwało się z piersi wodza, zakołysał się silniej, wskoczył na drewniany kozieł, stojący pod żyrandolem, i wzniosł drąg. Straszna myśl przeleciała jak błyskawica przez głowy:

rozbije świecznik i zaleje cyrk potokami płonącej nafty. Z piersi widzów wyrwał się jeden okrzyk. Ale cóż to? Z areny wołają: stój! stój.... Wodza nie ma! zeskoczył, znikł w wyjściu. Nie spalił cyrku? Gdzież się podział? Oto wychodzi, wychodzi znowu, zziębnięty, zmęczony, straszny. W ręku niesie blaszaną miskę i wyciągając ją ku widzom, mówi błagalnym głosem: *Was gefällig für den letzten der Schwarzen Schlangen!*... Kamień spada z piersi widzów. Więc to wszystko było w programie, więc to była sztuka dyrektora? efekt? Sypią się półdolary i dolary. Jakże odmówić ostatniemu z Czarnych Wężów – w Antylopie, na zgliszczach Chiavatty! Ludzie mają serce.

Po przedstawieniu sachem pił piwo i jadł knedle „Pod Złotym Słońcem”. Otoczenie wpływ widocznie wywarło. Zyskał wielką popularność w Antylopie, zwłaszcza u kobiet. Robiono nawet plotki...

SĄD OZYRYSA

PRZEŁOŻYŁ Z EGIPSKIEGO PAPIRUSU
HENRYK SIENKIEWICZ

A gdy umarł w Egipcie syn Psunabudes, Psunabudes, wielki minister któregoś tam Tutmesa¹, z którejś dynastii panującej przed napadem Hyksów, dwie nieśmiertelne Ideje pokłóciły się o jego duszę tak zapalczywie i napęliły takim hałasem nieskończone przestworza cichej wieczności, iż wszechmocny Ozyrys kazał im stanąć przed sobą i zapytał:

– Kto wy jesteście, o duchy, kto jest ten grzesznik, którego me jastrzębie oko dostrzega między wami, i dlaczego w krainie Ciszy kłóciacie się jak dwie przekupki z Memfis?

A na to tak odpowiedział pierwszy z duchów:

– Ja, panie, jestem nieśmiertelna Głupota. Opiekowałam się tu obecnym Ekscelemcją Psunabudesem jak kochająca matka. Dyktowałam mu wszystkie jego słowa, byłam mu przewodniczką we wszelkich czynach. Nie odstępowałam go ani na chwilę, a ponieważ i on trzymał się mojej szaty stale i wiernie, ponieważ całe życie był, wedle egipskiego przysłowia, głupi jak stołowe nogi, przeto chcę zabrać teraz jego duszę i umieścić ją w tej zaziemskiej krainie, którą ja władam, a która przeznaczona jest na wiekuiste siedlisko durniów.

Ozyrys zwrócił się do drugiego ducha:

– Mów ty teraz – rzekł biorąc w ręce wagi, na których ważył wszelkie myśli, słowa i uczynki.

– Ja, o panie, jestem nieśmiertelna Niegodziwość. Nie przeczę wcale, że J. E. Psunabudes popełniał często na swym wysokim stanowisku błędy godne osła, ale twierdzę, że przede wszystkim był szubrawcem. Jeśli pozwolisz, panie, przytoczę ci na to tysiączne dowody, których Głupota, choćby dlatego, że jest Głupota, nie potrafi nigdy obalić.

– Głupota – przerwał Jastrzębiooki, podnosząc do góry swój opatrnościowy palec – nie umie tylko budować, często natomiast umie

¹ Liczby porządkowe nieczytelne.

obalać, co powiedziawszy nawiasem, pytam się następnie, czego żądasz?

– Chcę, panie, zabrać tę duszę i umieścić ją w tej zaziemskiej krainie, którą ja władam, a która przeznaczona jest na pośmiertne wiekiste siedlisko dla łotrów.

To mówiąc chwyciła za rękę Psunabudesa, ale w tej samej chwili Głupota chwyciła go za drugą i obie, tamując dech w piersiach, czekały na wyrok Sprawiedliwego.

A Sprawiedliwy wpił swój ptasi wzrok w Psunabudesa i przypatrywał mu się przez czas dłuższy, a wreszcie rzekł:

– Widzę, że obie macie do niego prawo, więc chętnie bym was wysłuchał i rozsądził, ale zaprawdę, położenie jest dziwne. Oto twoje dowody, o Głupoto, będą głupie, a twoje, o Niegodziwości, niegodziwe. Wobec tego nie mogę ich rozważać, a zatem żadnej z was nie mogę udzielić głosu. Jakaż więc na to jest rada? Oto zawołam Mądrości, która wszystko przenika, i rozkaże jej, aby mi przedstawiła w krótkich a mądrych słowach i żywot Jego Ekscelencji, i waszą sprawę.

– O panie – szepnęła Głupota. – Mądrość jest moją osobistą nieprzyjaciółką.

Sprawiedliwy podniósł znów w górę swój opatrnościowy palec.

– Wierz mi, Głupoto, że prawdziwa Mądrość jest zarówno nieprzyjaciółką Niegodziwości, jak i twoją.

I w tejże chwili przywołał Mądrość, a ta stawiła się natychmiast i spojrzawszy na Psunabudesa nie zdziwiła się wprawdzie, albowiem Mądrość niczemu się nie dziwi, ale uśmiechnęła się jakby z pewnym zadowoleniem i rzekła:

– Ach, to Jego Ekscelencja, który tajnym okólnikiem do gubernatorów zabronił mi pobytu w Egipcie!...

– Dla dobra państwa, słowo uczciwości... – począł się tłumaczyć Psunabudes. Lecz Ozyrys nakazał mu milczenie, sam zaś zapytał:

– Powiedz mi, Mądrości, czy ten zakaz był bardziej głupi czy niegodziwy.

– Jednakowo, zupełnie jednakowo! – odpowiedziała Mądrość.

Więc Sprawiedliwy położył równe ciężarki na szalach opartych o stopień jego tronu.

– Mów dalej – rzekł – aby się stało wreszcie wiadomo, który z tych dwóch duchów ma pomyśleć o najwłaściwszym dla Ekscelencji osiedleniu.

Więc Mądrość poczęła streszczać całe życie Psunabudes, od wczesnej młodości aż do ostatniej chwili jego ziemskiej podróży. Wspomniała, jak w akademii w stubramnych Tebach był zaciekle liberalnym, jak wstąpiwszy następnie do urzędu, zapisał się niebawem do działaczy państwowych i drwił z zasad, które za studenckich czasów wygłaszał, jak pod hasłem: „Egipt dla Egipcjan”, pracował nad zjednoczeniem państwa pod władzą memfickiej biurokracji, jak wreszcie w ciągu długiego swego zawodu ustawicznie kogoś podejrzewał, coś wietrzył, przeciwko komuś wysyłał raporty, przed czymś ostrzegał, czegoś nie dopuszczał, coś zamykał, coś ukracał i zamiast rozszerzać ludzką działalność i ludzkie życie, ustawicznie je obrzydzał, krępował i ograniczał.

– Czy nie sądzisz, że to są szelmostwa – przerwał Ozyrys dorzucając ciężaru na szalę niegodziwości.

– Nie przeczę, o Wszechtreściwy – odrzekła Mądrość – ale pozwolę sobie zauważyć, że była w tym i głupota tak wielka jak piramida Cheopsa, albowiem Psunabudes, pracując niby dla potęgi Egiptu, w gruncie rzeczy go osłabiał, pracując niby dla jego sławy, ostatecznie go zohydzał, pracując niby dla porządku w państwie, wtrącał je w bezład i tworzył mu wewnętrznych nieprzyjaciół, a przy tym nigdy w jego zakutej głowie nie powstała ani na chwilę myśl, że cała jego robota może przynieść tylko szkody i klęski.

– Jeśli tak – rzekł Sprawiedliwy – to trzeba dorzucić i na szalę głupoty.

– Trzeba! – powtórzyła Mądrość – ale słuchaj mnie, panie, dalej. Został potem Psunabudes gubernatorem prowincji północnej Phath, zamieszkałej przeważnie przez Fenicjan i Greków, i zarówno jednych, jak drugich począł gorliwie przerabiać na Egipcjan. Zabraniał im mówić i pisać na papirusach we własnym języku, prześladował ich wiarę i pozamykał ich szkoły, a przede wszystkim kazał im nosić czepki, które jak wiadomo, są narodowym egipskim pokryciem głowy. W jego przekonaniu czepki stanowił Egipcjanina, jakie zaś myśli wrzały w tych głowach, którym narzucił czepki, nad tym nie był się zdolny zastanowić. Ci wszakże, którzy nie chcieli nosić czepków, mogli się od nich uwolnić łapówką, w ten bowiem sposób wzrastał majątek gubernatora.

Ozyrys podniósł po raz trzeci palec do góry i rzekł z powagą:

– Łapówki nie dowodzą głupoty.

– Zapewne, panie, ale nie dorzucaj ich na szalę niegodziwości, ponieważ w Egipcie wszyscy dygnitarze uważają łapówki za zwyczaj tak

powszechny i tak zgodny ze starą tradycją egipską, że biorą je z zupełnie czystym sumieniem.

– Masz słuszność i jako bóg egipski, nie powinienem być o tym zapominać. Nie dorzucę też nic na żadną szalę, póki nie powiesz, jak postępował Psunabudes jako minister Faraona?

– Egipt, jak ci wiadomo, Sprawiedliwy, potrzebował wielkich i głębokich reform. Otóż Psunabudes, zostawszy ministrem, postarał się przede wszystkim o to, by te reformy nie były wielkie i głębokie, ale drobne i płytkie. Egipt potrzebował nowych i mądrych ludzi, którzy by byli przyjaciółmi wyżej wspomnianych reform. Psunabudes zaś powierzył ich wykonanie dawnym, głupowatym urzędnikom, którzy byli ich wrogami. Jaka z tego powstawała karykatura i jaka szkoda dla Egiptu, to łatwo pojmie nie tylko tak przenikliwy umysł, jak twój, panie, albo jak umysł krokodyla, kota lub ichneumona, ale nawet zwykły, miałki rozum człowieka. Psunabudes był zbyt tępy, by rozumieć, iż państwo musi być od podstaw do szczytu przebudowane, a za mało uczciwy, by przeprowadzić sumiennie nawet te zmiany, których konieczność uznał i zrozumiał sam Faraon.

– Niech mnie ibis kopnie – rzekł Ozyrys dorzucając na obie szale – jeśli wiem, która w końcu przeważy!

A słowa Mądrości płynęły dalej:

– Oszukiwał zarówno Faraona, jak i lud. Faraonowi groził buntem ludu, ludowi wszczepił przekonanie, że Faraon chce go utrzymać w niewoli. Poderwał władzę Faraona, a nie rozszerzył wolności. Za jego czasów powiększyły się głody w Egipcie, a kraj napełnił się rozbójnikami.

– Chwała Bogu, to jest chwała mnie samemu! – zawołał Ozyrys – tu już nie ma przynajmniej wątpliwości, że to są łajdactwa czystej wody!

– O! nie tylko łajdactwa – odpowiedziała łagodnie Mądrość – gdyż Psunabudes okazał przy tym mniej rozumu, niż go posiada pęcherz wielbłąda. Czyny jego były złowrogie, ale on sam był durniem i głupota jego była tym większa, że się uważał za mądrego. Niezdolny był zrozumieć, że gdzie trzeba wielkiej twórczej polityki, tam szachrajstwo nie może wystarczyć, i szachrował, szachrował bez końca.

– Prawda! masz słuszność jak zawsze, i tylko tak dokładne wagi jak moje wskazać nam mogą, co z nim uczynić należy.

– Kilka słów muszę jeszcze dodać, o Wszechkulisty!

Psunabudes drwił sobie z Egiptu, nie dbał o Faraona, myślał zawsze tylko o sobie, więc można by mniemać, że był tylko szuja. Ale zważ jednak, panie, że gdyby Psunabudes rządził mądrze i uczciwie, to zyskałby na tym Egipt, zyskałby Faraon, a on sam nie tylko nic by z własnych korzyści nie uronił, ale stałby się jeszcze potężniejszym i sąd historii wypadłby o nim inaczej.

– Więc znów chcesz powiedzieć, że osieł przeważał w nim jednak nad łotrem?

– Podnieś, o Sprawiedliwy, wagi, a przekonamy się natychmiast.

.....

Ozyrys podniósł szale i trzymał je w górze, póki nie uspokoiły się zupełnie. Po czym spojrzął i zdziwienie, ale zarazem i zmieszanie odbiło się na jego boskim obliczu.

– Na święty ogon Apisa! – zawołał – głupota i szelmstwo nie przeważają się wzajem ani na jeden włos z mej brody. Co teraz robić?...

Co robić?...

Jastrzębiooki odrzucił wagi, objął głowę dłońmi i przymknął oczy.

Po chwili jednak twarz rozjaśniła mu się promiennym uśmiechem i zwróciwszy się do Psunabudesa, zaczął mówić zwolna i uroczyście:

– Ekscelencjo! Żaden z greckich, fenickich ani z tutejszych młodszych bogów nie wiedziałby, co z tobą uczynić, gdyż widzisz, że nawet i Mądrość drapie się w tej chwili w głowę.

...Ale niepróżno zowią mnie bogi i ludzie Wszechmocnym, bo oto wszechmocą moją rozcinam, jak mieczem Faraona, wszelkie trudności i ogłaszam ci wyrok następujący:

...Wróć do życia i wróć na ziemię. Bądź do końca świata ministrem Faraonów i rozmaitych ludów: zabiegaj, kręć, prowadź, przyduj, rządź...

...A gdy spełnią się wieki, musi się w końcu pokazać, czy jesteś większym łotrem, czy osłem...

...Wtedy i ja będę wiedział, który z tych dwóch duchów ma ci przygotować wieczystą rezydencję.

.....

To rzekłszy obrócił Psunabudesa twarzą do niebieskich schodów i nagłym rozmachem swej boskiej stopy przyśpieszył jego powrót na ziemię.

W przepaściach wieczności zapadła głęboka cisza; natomiast Egipt zgotował widocznie owację zmartwychwstałej Ekscelencji, albowiem aż do bram nieba jęły dochodzić chóralne głosy śpiewając radośnie:

– Psunabudes! O Psunabudes!... Mądrość poczęła się śmiać cicho.

LEGENDA ŻEGLARSKA

Był okręt, który zwał się „Purpura”, tak wielki i silny, że się nie bał wicherów ani bałwanów, choćby najstraszniejszych.

I płynął ciągle z rozpiętymi żaglami, wspinał się na spiętrzone wały, kruszył potężną piersią podwodne haki, na których rozbijały się inne statki – i płynął w dal, z żaglami w słońcu, tak szybko, że aż piana warczała

mu po bokach, a za nim ciągnęła się szeroka i długa droga świetlista.

– To pyszny statek! – mówili żeglarze z innych okrętów. – Rzekłbyś: lewiatan fale porze! A czasem pytali załogę „Purpury”:

– Hej, ludzie! dokąd jedziecie?

– Dokąd wiatr żenie! – odpowiadali majtkowie. – Ostrożnie! tam wiry i skały!

W odpowiedzi na przestrogę wiatr tylko odnosił słowa pieśni tak szumnej jak burza sama:

Wesoło płynmy, wesoło!

Szczęśliwe było życie załogi na tym statku. Majtkowie, zaufani w jego wielkość i dzielność, drwili z niebezpieczeństw. Sroga panowała karność na innych okrętach, ale na „Purpurze” każdy robił, co chciał.

Życie tam było ustawicznym świętem. Szczęśliwie przebyte burze i pokruszone skały zwiększyły jeszcze zaufanie. Nie ma (mówiono) takich raf ni takich burz, które by „Purpurę” rozbić mogły. Niech huragan przewraca morze – „Purpura” popłynie dalej.

I „Purpura” płynęła istotnie, dumna, wspaniała. Przechodziły lata całe – a ona nie tylko sama zdawała się być niezłomną, ale ratowała jeszcze inne statki i przygarniała rozbitków na swój pokład.

Ślepa wiara w jej siłę zwiększała się z dniem każdym w sercach załogi. Żeglarze zleniwili w szczęściu i zapomnieli sztuki żeglarskiej. – „Purpura” sama popłynie – mówili. – Po co pracować, po co baczyć na statek, pilnować steru, masztów, żagli, lin? po co żyć w trudzie i pocie czoła, gdy statek, jak bóstwo – nieśmiertelny?

Wesoło płynmy, wesoło!

I płynęli jeszcze długie lata. Aż wreszcie upływem czasu załoga zniewieściała zupełnie, zaniedbała obowiązków i nikt nie wiedział, że statek począł się psować. Słona woda przeżarła belki, potężne wiązania rozluźniły się, fale poobdzierały burty, maszty popróchniały, a żagle zetliły się na powietrzu.

Wszelako głosy rozsądku poczęły się podnosić:

– Strzeżcie się! – mówili niektórzy majtkowie.

– Nic to! płyniemy z falą! – odpowiadała większość marynarzy.

Tymczasem, pewnego razu, wybuchła taka burza, jakiej dotychczas nie bywało na morzu. Wichry zmieszały ocean z chmurami w jeden piekielny zamęt. Wstały słupy wodne i leciały z hukiem na „Purpurę”, straszne, spienione, wrzące. Dopadłszy statku wbiły go aż na dno morza, potem rzuciły ku chmurom, potem zwały znów na dno. Pękły zwałale wiązania statku i nagle krzyk straszny rozległ się na pokładzie.

– „Purpura” tonie!

I „Purpura” tonęła naprawdę, a załoga, odwykła od trudów i żeglugi, nie wiedziała, jak ją ratować!

Lecz po pierwszej chwili przerażenia wściekłość zawrzała w sercach, bo kochali jednak swój statek ci marynarze.

Więc zerwali się wszyscy i poczęli bić z dział do wichrów i fal spienionych, a potem chwyciwszy, co kto miał pod ręką, poczęli chłostać morze, które chciało zatopić „Purpurę”.

Wspaniała była walka tej rozpaczliwej ludzkiej z tym żywiołem. Lecz fale były silniejsze od żeglarzy. Działa zalane umilkły. Olbrzymie wiry porwały wielu walczących i uniosły w odmęt wodny. Załoga zmniejszała się z każdą chwilą – ale walczyła jeszcze. Zalani, na wpół oślepli, pokryci górą pian, żeglarze walczyli do upadłego.

Chwilami sił im brakło, ale po krótkim spoczynku znów zrywali się do walki.

Na koniec ręce im opadły. Poczuli, że śmierć nadchodzi.

I nastąpiła chwila głuchej rozpaczliwej. I poglądali na się ci żeglarze jak obłąkani.

Wtem te same głosy, które poprzednio ostrzegały już o niebezpieczeństwie, podniosły się znowu, silniejsze, tak silne, że ryk fal nie mógł ich zagłuszyć.

Głosy te mówiły:

– O, zaślepieni! Nie z dział wam bić do burzy, nie fale chłostać, ale statek naprawiać! Zstąpcie na dno. Tam pracujcie. „Purpura” jeszcze nie zginęła.

Na owe słowa drgnęli ci na wpół umarli i rzucili się wszyscy na spód, i rozpoczęli pracę od spodu.

I pracowali od rana do nocy, w trudzie i pocie czoła, chcąc dawną beczynność i zaślepienie wynagrodzić...

H. K. T.

BAJKA

Leci sobie drapieżny sęp, leci, leci, wreszcie siada wśród skał, przy sokolim gnieździe i poczyną krakać na sokoła:

– W imieniu moich praw, słuchaj mnie.

– Czego chcesz? – pyta sokół.

– Chcę cię zabić i pożreć – powiada sęp.

– A cóż ci po mojej zgubie?

– Co za głupie pytanie i co za brak wykształcenia! Ciasno mi jest w rodzinnym gnieździe, więc chcę zabrać twoje, abym miał gdzie umieścić moich młodszych synów; po wtóre, mam swoją sępią politykę, której twoje istnienie zawadza; a po trzecie, kraczesz innym głosem niż ja i nie kochasz mnie.

– Co do mego głosu, odzywam się takim, jaki mi Bóg dał, a co do mych uczuć, za cóż ja mam cię kochać?

– Mniejsza o to. Wiem tylko, że mam prawo zabić i pożreć każdego, kto mnie nie kocha.

– Więc gdybym cię kochał, nie zabijałbyś mnie?

– Ach! – rzecze sęp – gdybyś mnie kochał, oddałbyś mi dobrowolnie swoje gniazdo, a również dobrowolnie dałbyś mi się pożreć, aby moja osoba mogła nieco zaokrąglić się i utyć.

– W każdym razie nie uniknąłbym zguby?

– Rozumie się: jednakże śmierć z poświęcenia przyniosłaby ci większy zaszczyt.

Chwila milczenia.

– Co ma być, to będzie... – mówi wreszcie sokół. – Ale powiedz mi też, mój kochany, kto cię nauczył tak rozumować?

Usłyszawszy to sęp podnosi głowę i rzecze z wielką dumą:

– Prostaku, to chyba nie wiesz, że ja przez dwa lata byłem na edukacji w ogrodzie zoologicznym w Berlinie!

– Tak?... – mówi sokół. – Ha! to w takim razie nadzieja moja tylko w Bogu – i trochę także w... dziobie.

Z PAMIĘTNIKA POZNAŃSKIEGO NAUCZYCIELA

Światło lampy, chociaż przyćmione, budziło mnie, i nieraz o drugiej lub trzeciej po północy widziałem Michasia pracującego jeszcze. Mała i wątła jego postać, przybrana tylko w bieliznę, schylona była nad książką, a w ciszy nocnej senny i zmęczony głos powtarzał mechanicznie koniugacje łacińskie lub greckie z tą jednostajnością, z jaką w kościele powtarzają słowa litanii. Gdym zawołał na niego, by szedł spać, chłopiec odpowiadał mi: „Nie umiem jeszcze lekcji, panie Wawrzynkiewicz.” Odrabiałem z nim przecie zadania od czwartej do ósmej, a potem od dziewiątej do dwunastej, i sam nie szedłem do łóżka, nimem się nie przekonał, że umie wszystko; ale doprawdy tego wszystkiego było za dużo. Skończywszy ostatnią lekcję, chłopiec zapominał pierwszej, a koniugacje greckie, łacińskie, niemieckie i nazwy rozmaitych powiatów wprowadzały biedną jego głowę w taki zamęt, że spać nie mógł. Wyłąził tedy spod koldry, zapalał lampę i zasiadał na nowo do stolika. Gdym go łajał – prosił się i płakał. Potem tak już przyzwyczaiłem się do tych nocnych siedzeń, do blasku lampki i do mrużenia koniugacyj, że kiedy mi ich brakło, sam spać nie mogłem. Może powinienem był nie pozwolić, by dziecko męczyło się nad siły, ale cóżem miał robić? Musiał przecie wyuczyć się co dzień choć jako tako lekcji, bo inaczej usunięto by go ze szkół, a Bóg jeden wie, co by to był za cios dla pani Marii, która po śmierci męża zostawszy z dwojgiem sierot, wszystkie nadzieje złożyła w Michasiu. Położenie było prawie bez wyjścia, bom z drugiej strony widział, że nadmierne wysilenia umysłowe podkopują zdrowie chłopca i mogą życiu jego zagrozić. Trzeba było przynajmniej wzmacniać go fizycznie, gimnastykować, kazać mu dużo chodzić lub jeździć konno, ale nie było czasu na to. Dziecko tyle miało do roboty, tyle do wyuczenia się na pamięć, tyle do napisania co dzień, że z ręką na sumieniu powiadam: nie było czasu. Każdą chwilę, potrzebną dla wesołości, zdrowia i życia chłopca, zabierała łacina, grecki i... niemiecki. Rankiem, gdym mu pakował książki do tornistra i gdym widział, jak chude jego ramiona gięły się pod ciężarem tych bizantyjskich tomów, serce mi się po prostu ścisnęło. Czasem prosiłem dla niego o wyrozumienie i względność, ale niemieccy profesorowie

odpowiadali mi tylko, że dziecko psuję i rozpieszczę, że Michaś widocznie nie dość pracuje, że ma polski akcent i że beczy z lada powodu. Chory sam jestem na piersi, samotny i zgryźliwy, więc te wymówki niejedną mi chwilę zatrwały. Ja najlepiej wiedziałem, czy Michaś nie dość pracuje! Było to dziecko średnich zdolności, ale tak wytrwałe i przy całej słodyczy, taką obdarzone siłą charakteru, jakiej nie zdarzyło mi się spotkać w żadnym innym chłopcu. Biedny Michaś namiętnie i ślepo był przywiązany do matki, że zaś mu powiedziano, iż matka bardzo jest nieszczęśliwa, chora i że gdy on będzie jeszcze się źle uczył, to może ją dobić – więc chłopak drżał przed tą myślą i całymi nocami siadywał nad książką, byle tylko matki nie zmartwić. Wybuchął płaczem, gdy dostał zły stopień, ale nikomu nie przychodziło do głowy, dlaczego płakał, do jakiej strasznej poczuwał się w takich chwilach odpowiedzialności. Ba! co komu było do tego? Miał polski akcent, i kwita! Ja go nie psułem ani rozpieszczęłem, tylko go rozumiał lepiej od innych; żem zaś zamiast łajać go za niepowodzenia, starał się pocieszać, to już moja rzecz. Sam napracowałem się w życiu niemało, nacierpiałem się głodu i biedy, nie byłem szczęśliwy, nie będę szczęśliwy i – niech tam diabli wezmą! nawet już i zębów nie ściskam, gdy o tym myślę; nie wierzę, żeby było warto żyć, ale może dlatego właśnie mam prawdziwe współczucie dla każdej biedy.

Ja przynajmniej w wieku Michasia, gdym latał za gołębiami po ulicach lub grywał w pliszki pod ratuszem, miałem swoje czasy zdrowia i wesołości. Kaszel mnie nie męczył; gdym w skórę brał, tom płakał, póki bili; zresztą byłem swobodny jak ptak i nie dbałem o nic. Michaś i tego nawet nie miał. Życie byłoby i jego położyło na kowadło i biło młotem; tyle by więc wygrał, ile by jako malec naśmiał się serdecznie z tego, co dzieci bawi, napłatał figlów i wylatał się na otwartym powietrzu w promieniach słońca. Ale takiej zgody pracy z dzieciństwem nie miałem przed oczyma. Przeciwnie: widziałem dziecko idące do szkoły i wracające z niej chmurne” zgarbione pod ciężarem książek, wysilone, ze zmarszczkami w kątach oczu, tłumiące ustawicznie jakoby wybuch płaczu – więcem mu współczuł i chciałem być dla niego ucieczką.

Jestem sam nauczycielem, jakkolwiek prywatnym, i nie wiem, co bym robił na świecie, gdybym jeszcze stracił wiarę w wartość nauki i pożytek, jaki z niej płynie. Myślę tylko po prostu, że nauka nie powinna być tragedią dla dzieci, że łacina nie może zastąpić powietrza i zdrowia, a dobry lub zły akcent nie powinien stanowić o losie i życiu maleńkich istot.

Myślę także, że pedagogia lepiej spełnia swe zadanie, gdy dziecko czuje rękę prowadzącą je łagodnie, nie zaś nogę przygniatającą mu piersi i deptającą wszystko, co go nauczono czcić i kochać w domu... Taki ze mnie obskurant, że pewno już zdania w tym względzie nie zmienię, bo utwierdzam się w nim coraz bardziej, gdy sobie wspominam mojego Michasia, którego kochał tak szczerze. Od sześciu lat byłem jego nauczycielem, pierwaj jako guwerner, potem gdy wszedł do drugiej klasy, jako korepetytor, miałem więc czas przywiązać się do niego. Zresztą czemu bym miał ukrywać przed samym sobą: był mi drogim, bo był synem droższej dla mnie nad wszystko istoty... Nigdy ona nie wiedziała o tym i nigdy wiedzieć nie będzie. Pamiętam, że ja jestem... ot sobie – pan Wawrzyńkiewicz, prywatny nauczyciel, a do tego człowiek chory, ona zaś córka zamożnego domu szlacheckiego, po prostu pani, na którą bym nie śmiał oczu podnieść. Ale że samotne serce, miotane życiem, musi w końcu przyczepić się do czegoś, jak przyczepia się muszla miotana falą – więc moje przywarło do niej. Co ja na to poradzę? A wreszcie co jej to szkodzi? Nie chcę od niej więcej światła niż od słońca, które wiosną ogrzewa moje chore piersi. Od sześciu lat byłem w jej domu, byłem przy śmierci jej męża, widziałem ją nieszczęśliwą, samą, a zawsze dobrą jak anioł, kochającą dzieci, świętą prawie w swym wdowieństwie, więc... musiało do tego przyjść. Ale to nie miłość we mnie, to prędzej moja religia.

Michaś bardzo przypominał matkę. Nieraz gdy podnosił na mnie oczy, zdawało mi się, że patrzę na nią. Były to też same delikatne rysy, toż samo czoło z cieniem padającym od bujnych włosów, ten sam łagodny zarys brwi, a szczególnie głos prawie jednakowy. W usposobieniu matki i dziecka była także wspólność, objawiająca się w pewnej skłonności do egzaltacji uczuć i poglądów. Należeli oboje do tego rodzaju istot nerwowych, wrażliwych, szlachetnych i kochających, które zdolne są do największych poświęceń, ale które w życiu i zetknięciu się z jego rzeczywistością mało znajdują szczęścia, dając naprzód więcej, niż mogą otrzymać. Ten rodzaj ludzi ginie też teraz, i myślę, że jakiś dzisiejszy naturalista mógłby powiedzieć o nich, że z góry są na śmierć skazani, bo przychodzą na świat z wadą serca – za dużo kochają.

Rodzina Michasia była kiedyś bardzo zamożna, ale –i za dużo kochali... więc rozmaite burze rozwiały fortunę, a to, co zostało, nie jest wprawdzie nędzą, nie jest nawet ubóstwem, jednakże w porównaniu do dawnych czasów – miernością. Michaś był ostatnim z rodziny; toteż pani Maria kochała go nie tylko jak własne dziecko, ale ~~zarazem jak wszystkie swoje nadzieje na przyszłość. Na nieszczęście, z~~

wszystkie swoje nadzieje na przyszłość. Na nieszczęście, z zaślepieniem, zwykłym matkom, widziała w nim niepospolite zdolności. Chłopiec wprawdzie istotnie nie był tępy, ale należał do tego rodzaju dzieci, których zdolności, z początku średnie, rozwijają się dopiero później razem z siłami fizycznymi i zdrowiem. W innych warunkach mógłby był skończyć szkoły i uniwersytet i stać się pożytecznym pracownikiem na każdym polu. W tych, jakie istniały, męczył się tylko i wiedząc o wysokim wyobrażeniu, jakie matka miała o jego zdolnościach, wysiłał na próżno.

Wiele na świecie widziały oczy moje, i postanowiłem się nie dziwić niczemu, ale wyznaję, że z trudnością uwierzyłem, by mógł istnieć taki zamęt, w którym by dziecku na złe wyszła wytrwałość, siła charakteru i praca. Jest coś w tym niezdrowego, i gdyby mi słowa mogły zapłacić za żal i gorycz, to doprawdy powiedziałbym razem z Hamletem, że dzieją się na świecie rzeczy, o których nie śniło się filozofom...

Pracowałem z Michasiem, jakby od tych stopni, które on za postępy dostawał, moja własna przyszłość zależała. Bo też obaj z moim droгим chłopcem mieliśmy jeden cel, a to: nie zmartwić jej, pokazać dobrą cenzurę, wywołać uśmiech szczęścia na jej usta.

Gdy mu się udało dostać dobry stopień, malec przychodził z klasy rozpromieniony i szczęśliwy. Zdawało mi się że w takich razach urósł nagle, że się rozkurczał; jego chmurne zwykle oczy śmiały się wówczas tą szczerą, dziecienną wesołością i świeciły jak dwa węgielki. Zrzucał natychmiast ze swoich wąskich pleców tornister przeładowany książkami i mrugając na mnie, mówił jeszcze w proggu:

– Panie Wawrzyńkiewicz, mama będzie kontenta! Dostałem dziś z geografii... niech pan zgadnie ile?

A gdym udawał, że nie zgaduję, przybiegał do mnie z pyszną minką i zarzuciwszy mi ręce na szyję, mówił niby do ucha, ale bardzo głośno:

– Piątkę! naprawdę piątkę!

Były to dla nas obydwóch szczęśliwe chwile. Wieczorami w takie dni Michaś rozmarzał się i wyobrażając sobie, co to będzie, jeśli dostanie wszystkie stopnie celujące, gwarzył na wpół do mnie, na wpół do siebie samego:

– Na Boże Narodzenie pojedziemy do Zalesina: śnieg będzie padał – zwyczajnie jak w zimie – więc pojedziemy sankami. Przyjedziemy w nocy, ale o! mama będzie na mnie czekała, uściska mnie, ucałuje, a potem spyta o cenzurę. Ja zrobię smutną minę naumyślnie, a tu mama

czyta: Z religii: celujący; z niemieckiego: celujący; z łaciny: celujący... same celujące! O! panie Wawrzynkiewicz!

I biednemu chłopcu łzy stawały w oczach, a ja, zamiast go powstrzymywać, sam biegłem za nim zmęczoną wyobraźnią i przypomniałem sobie dom w Zalesinie, jego powagę, spokój, tę wyższą, szlachetną istotę, która tam była panią, i szczęście, jakie jej sprawi powrót chłopca z celującymi w cenzurze.

Korzystałem z takich chwil i dawałem Michasiowi nauki, tłumacząc mu, że mamie chodzi bardzo o jego naukę, ale także o zdrowie, że więc nie powinien płakać, gdy go wyprowadzam na przechadzkę, sypiać tyle, ile mu każę, i nie upierać się przy nocnym siedzeniu. Rozrzuwiony malec ścisnął mnie za szyję i powtarzał:

– Dobrze, mój złoty panie, będę zdrow, że aż strach, i Stanę się taki duży, że ani mama, ani mała Lola mnie nie poznają.

Odbierałem też często listy od pani Marii polecające mi, bym czuwał nad zdrowiem dziecka, ale z rozpaczą przekonywałem się co dzień, że pogodzić naukę ze zdrowiem było prawie niepodobieństwem. Gdyby przedmioty wykładane były za trudne, byłbym sobie poradził, cofnąwszy Michasia z klasy drugiej do pierwszej; ale on te przedmioty, jakkolwiek jałowe, doskonale pojmował; nie o naukę więc chodziło, tylko o czas i ten nieszczęsny niemiecki język, którym dziecko nie władało dostatecznie. Na to już nic nie mogłem poradzić i liczyłem jedynie, że gdy święta nadejdą odpoczynek wypełni te szczyby w zdrowiu chłopca, które czyniła nadmierna praca.

Gdyby Michaś był dzieckiem obojętniejszym, mniej bym się troszczył o niego; ale on prawie żywiej jeszcze odczuwał każde niepowodzenie niż pomyślność. Chwile radości i owych **piątek**, o których wspominałem, rzadkie były na nieszczęście.

Tak nauczyłem się czytać w jego twarzy, że skoro tylko wszedł, od pierwszego rzutu oka poznawałem, gdy mu się nie powiodło.

– Dostałeś zły stopień? – pytałem.

– Tak jest!

– Nie umiałeś?

Czasem odpowiadał:

– Nie umiałem – częściej jednak: – Umiałem, ale nie mogłem powiedzieć.

Jakoż mały Owicki, prymus z klasy drugiej, którego naumyślnie sprowadziłem, aby się Michaś z nim uczył, mówił, że Michaś głównie dlatego dostaje złe stopnie, że się nie umie... wyjęzyczyć.

W miarę jak dziecko czuło się coraz więcej zmęczone umysłowo i fizycznie, takie niepowodzenia powtarzały się częściej. Zauważyłem, że gdy wyplakawszy się, siadał następnie do lekcji, cichy bywał i niby spokojny, ale w tej zdwojonej energii, z jaką zabierał się do zadań, było coś rozpaczliwego i gorączkowego zarazem. Czasem też szedł w kąt, ścisnął głowę obu rękoma i milczał: egzaltowany chłopiec wyobrażał sobie, że kopie grób pod nogami ukochanej matki, a nie wiedział, jak zaradzić temu, i czuł się po prostu w kole błędnym, z którego nie było wyjścia.

Jego nocne siedzenia stawały się coraz częstsze. Bojąc się, że gdy się obudzę, każę mu iść spać, wstawał cicho, po ciemku wynosił lampę do przedpokoju, tam ją zapalał i zasiadał do roboty. Zanim go na tym złapałem, kilka nocy przepędził w ten sposób między nieopalanymi ścianami. Nie miałem innej rady, jak wstać, zawołać go do pokoju i przerobić z nim raz jeszcze wszystkie lekcje, by go przekonać, że je umiał i że niepotrzebnie narażał się na przeziębienie. Ale on już sam w końcu nie wiedział, co umiał, czego nie umiał. Dziecko traciło siły, chudło, żółkło i zasepiało się coraz bardziej. Czasem trafiło się coś takiego, co przekonywało mnie, że nie sama jednak praca wyczerpywała jego siły. Raz, gdym wykladał mu historię, którą „Stryj synowcom opowiedział”, co na żądanie pani Marii robiłem codziennie, Michaś zerwał się z zaiskrzonymi oczyma, ja zaś przestraszyłem się prawie, ujrawszy badawczy i surowy wyraz jego twarzy, z jakim zawołał:

– Panie, więc to naprawdę nie bajka? bo...

– Bo co, Michasiu? – pytałem ze zdziwieniem.

Zamiast odpowiedzi zacisnął zęby, a w końcu wybuchnął płaczem tak namiętym, że długo nie mogłem go uspokoić.

Badałem Owickiego o przyczynę tego wybuchu: nie umiał lub nie chciał powiedzieć; domyśliłem się jednak sam. Nie było żadnej wątpliwości, że polskiemu dziecku trafiało się słyszeć w niemieckiej szkole wiele *rzeczy*, które raniły jego najgłębsze uczucia i które były wprost zaprzeczeniem albo pogardą i wydrwiwaniem z kraju, języka, ojczystych tradycji, słowem – ze wszystkiego, co w domu nauczano je czcić i kochać. Zdania takie ześlizgiwały się po innych chłopcach, nie zostawiając nic prócz głębokiej nienawiści do nauczycieli i całej ich rasy; ale chłopczyzna tak uczciwy, jak Michaś, odczuwał je boleśniej; nie śmiał zaprzeczyć, choć może nieraz miał ochotę krzyczeć z bólu, ale burzył się, zacinał zęby, gryzł i martwił. I tak do zmartwień, którymi karmiły go niepowodzenia i złe stopnie, przyrzuciła nieopisanej gory-

czy rozterka moralna, w jakiej żył ciągle. Dwie siły, dwa głosy, których słuchać jest obowiązkiem dziecka, ale które też właśnie dlatego winny być zgodne, szarpały Michasia w dwie przeciwne strony. Co jedna powaga nazywała białym, cnym, ukochanym, druga naznaczała piętnem strupienia i śmieszności; co jedna zwała cnotą, druga występkiem. Więc w tym rozdwojeniu chłopiec szedł za tą powagą, do której rwało mu się serce, ale musiał udawać, że słucha i bierze do serca słowa przeciwne; musiał udawać od rana do wieczora i żyć w tym męczącym przymusie dni, tygodnie, miesiące... Co za położenie... dziecka!

Dziwny był los Michasia. Dramaty życiowe zaczynają się zwykle później, gdy pierwsze liście spadają z drzewa młodości; dla niego wszystko to, co składa się na nieszczęście: przymus moralny, tajona zgryzota, niepokój, daremne wysiłki, szamotanie się z trudnościami, stopniowa utrata nadziei, wszystko to poczęło się w jedenastym roku życia. Ani jego wątła postać, ani wątłe siły nie były w stanie sprostać temu ciężarowi. Upływały dni, tygodnie; biedak podwajał wysilenia, a skutek coraz był mniejszy, coraz bardziej opłakany. Listy pani Marii, jakkolwiek słodkie, przyrzucały jeszcze wagi do brzemienia.

„Bóg Cię obdarzył, Michasiu, niezwykłymi zdolnościami – pisała matka – ufam więc, że nie zawiedziesz nadziei, jakie w tobie złożyłam, i że staniesz się krajowi i mnie pociechą.”

Gdy chłopiec odebrał pierwszy raz taki list, chwycił mnie za rękę spazmatycznie i zanosząc się od płaczu, zaczął powtarzać:

– Co ja poradzę, panie Wawrzyńkiewicz, co ja mogę poradzić?

Istotnie, cóż mógł zrobić? cóż mógł poradzić na to, że nie przyszedł na świat z wrodzoną łatwością do języków i że nie umiał się po niemiecku wyjęzyczyć?

Nadeszły czasy rekreacji na Wszystkich Świętych;

cenzura kwartalna wcale była nieszczególna: z trzech najważniejszych przedmiotów miał mierne. Na jego najsilniejsze prośby i zakłęcia nie posłałem jej pani Marii.

– Drogi panie! – wołał złożywszy ręce – mama nie wie, że na Wszystkich Świętych dają stopnie, a do Bożego Narodzenia może Pan Bóg zmiłuje się nade mną.

Biedne dziecko łudziło się nadzieją, że jeszcze te złe stopnie poprawi, a co prawda, łudziłem się i ja. Sądziłem, że wdroży się w rutynę szkolną, że przywyknie do wszystkiego, że wprawi się w język i nabierze akcentu, a przede wszystkim, że coraz mniej czasu będzie potrzebował do nauki. Gdyby nie to, dawno bym był pisał do pani Marii i

przedstawił jej stan rzeczy. Jakoż nadzieje zdawały się nie być próżne. Zaraz po Wszystkich Świętych Michaś dostał trzy stopnie celujące, z których jeden z łaciny. Ze wszystkich uczniów w klasie sam tylko wiedział, że od *gaudeo* czas przeszły jest *gavisus sum*, a wiedział dlatego, że dostawszy poprzednio dwa celujące, pytał się mnie, jak po łacinie: „cieszę się”. Myślałem, że chłopak zwariuje ze szczęścia. Napisał do matki list zaczynający się od słów:

„Mamusiu najdroższa! Czy ukochana moja wie, jak jest *perfectum* od *gaudeo*? pewno nie wie ani mama, ani mała Lola, bo w całej klasie ja tylko jeden wiedziałem.”

Michaś po prostu ubóstwiał matkę. Od tego czasu co chwila wypytywał mnie o różne *perfecta* i *participia*. Utrzymać te celujące stało się teraz zadaniem jego życia. Ale to był krótki blask szczęścia. Wkrótce fatalny akcent polski zburzył to, co wybudowała usilność, a nadmierna ilość przedmiotów nie pozwalała dziecku poświęcać każdemu z nich tyle czasu, ile wymagała jego wysiłona pamięć. Wypadek przyczynił się jeszcze do powiększenia niepowodzeń. I Michaś, i Owicki zapomnieli mi powiedzieć o jednym zadaniu piśmiennym i nie odrobili go. Owickiemu to uszło, bo, jako prymusa, nawet nie spytano o nie, ale Michaś dostał publiczną naganę w szkole wraz z zagrożeniem, że zostanie usunięty.

Przypuszczano oczywiście, że utaił umyślnie przede mną zadanie, by go nie odrobić, a chłopiec, który był niezdolny do najmniejszego kłamstwa, nie miał sposobu przekonania o swej niewinności. Mógł wprawdzie powiedzieć w swojej obronie, że i Owicki zapomniiał na równi z nim, ale na to nie pozwalał honor szkolny. Na moje zaręczenia Niemcy odpowiedzieli uwagą, że zachęcam chłopca do lenistwa. Kosztowało mnie to niemało-zmartwienia, ale więcej jeszcze niepokoju przyczynił mi widok Michasia. Wieczorem dnia tego widziałem go, jak ścisnąwszy głowę obu rękoma, szeptał myśląc, że go nie słyszę: „Boli! boli! boli!” List od matki, który nadszedł nazajutrz rano i w którym pani Maria obsypywała Michasia pieścotami za owe celujące, był nowym dla niego ciosem.

– O, sprawię mamie ładną pociechę! – wołał, zakrywając twarz dłońmi.

Następnego dnia, gdy mu zarzucił na plecy tornister z książkami, zatoczył się i mało nie upadł. Chciałem mu nie pozwolić iść do szkoły, ale mówił, że mu nic nie jest; prosił tylko, by go odprowadzić, bo się boi zawrotu głowy. Wrócił w południe z nowym miernym. Dostał go

za lekcję, którą umiał doskonale, ale wedle tego, co mówił Owicki, załkł się i nie mógł słowa przemówić. Utwierdziła się o nim stanowcza opinia, że był to chłopiec przesiąknięty „wstecznymi zasadami i instynktami”, tępy i leniwy.

Z dwoma ostatnimi zarzutami, o których wiedział, walczył, jak tonący z falą – rozpaczliwie, ale na próżno.

W końcu stracił wszelką wiarę w siebie, wszelką ufność we własne siły; doszedł do przekonania, że wysiłki i praca nadaremna, że on nigdy nie nabierze akcentu i musi się źle uczyć, a jednocześnie przedstawiał sobie, co na to powie matka, jaki to będzie dla niej ból, jak to może podkopać jej wątłe zdrowie.

Ksiądz z Zalesia, który czasem pisywał do niego, człowiek bardzo przychylny, ale nieogłębny, każdy list kończył słowami:

„Michał tedy niech pamięta, że nie tylko radość, ale i zdrowie matki zależy od jego postępów w nauce i moralności.” Pamiętał, pamiętał aż zanadto, bo nawet we śnie powtarzał żalonym głosem: „Mamo! mammo!” – jakby jej błagał o przebaczenie.

Ale na jawie dostawał coraz gorsze stopnie. Tymczasem Boże Narodzenie zbliżało się szybko, i co do cenzury nie można się było już ludzić. Napisałem do pani Marii, chcąc ją o tym uprzedzić. Powiedziałem otwarcie i stanowczo, że dziecko jest słabowite a przeciążone, że mimo największej pracy nie może sobie dać rady i że prawdopodobnie od świąt trzeba je będzie odebrać ze szkół, trzymać na wsi i przede wszystkim wzmacniać jego zdrowie. Lubo z odpowiedzi uczułem, że jej miłość własna macierzyńska została cokolwiek zraniona, jednakże odpisała jak rozumna kobieta i kochająca matka. Nie mówiłem Michałowi nic o tym liście i zamiarach odebrania go ze szkół, bom lękał się dla niego każdego silniejszego wzruszenia; wspomniałem tylko, że cokolwiek wypadnie, matka wie, że pracuje, i potrafi jego niepowodzenia wyrozumieć. Sprawilo mu to widoczną ulgę, bo się wyplakał długo i serdecznie, co mu się od pewnego czasu już nie zdarzało. Płacząc powtarzał: „Ile ja mamie sprawiam zmartwienia!” Jednakże na myśl, że wkrótce pojedzie na wieś, że zobaczy matkę i małą Lole, i Zalesin, i księdza Maszyńskiego, uśmiechał się przez łzy. Mnie także było pilno do Zalesina, bom już prawie nie mógł patrzeć na stan dziecka. Tam czekało na niego serce matki i życzliwość ludzka, i cisza, i uspokojenie. Tam nauka miała dla niego twarz swojską, życzliwą, nie obcą i odpychającą; tam cała atmosfera była swojska i czysta, którą dziecinne piersi mogły oddychać.

Wyglądałem więc dla niego świąt jak zbawienia i liczyłem na palcach chwile, które nas od nich przedzielały, a które Michasiowi coraz nowe przynosiły zgryzoty. Zdawało się, iż wszystko przeciw niemu się sprzysięga. Dla „tym większej” wprawy w język wykładowy dzieci miały polecenie nie używać nigdy innego między sobą. Michaś raz zapomniał się i dostał, jako **demoralizujący** innych, znów publiczną naganą. Było to już przed samymi świątami, więc tym więcej miało znaczenia. Jak wypadek ten odczuł dzieciak ambitny i wrażliwy – nie podejmuję się opisać: co za chaos musiał wytworzyć się w jego umyśle! Rwało się wszystko w tej dziecinnej piersi i przed oczyma widział zamiast światła – ciemność. Giał się też jak kłos pod wiatrem. W końcu twarz tego jedenastoletniego dziecka przybrała wyraz po prostu tragiczny; wyglądał tak, jakby go za gardło dusił ustawicznie płacz i jakby gwałtem wstrzymywał szlochanie; chwilami oczy jego patrzyły jak oczy cierpiącego ptaka; potem opanowało go dziwne zamyślenie i senność; ruchy jego zrobiły się jakby bezwiedne, a głos dziwnie powolny. Stał się niezwykle cichy, spokojny i mechanicznie posłuszny. Gdym mu mówił, że czas na przechadzkę, nie opierał się, jak dawniej, ale brał czapkę i szedł za mną w milczeniu. Byłbym nawet kontent, gdyby to było zubożenie, ałem widział, że pod jego pozorem kryła się wyegzaltowana, bolesna rezygnacja. Siadywał przy lekcjach, odrabiał zadania, jak i dawniej, ale więcej już z przyzwyczajenia. Znać było, że powtarzając mechanicznie koniugacje, myślał o czym innym albo raczej nie myślał o niczym. Raz, gdym się go spytał, czy już skończył wszystko, odpowiedział mi swoim powolnym głosem i jakby sennie: „Ja myślę, panie, że to się na nic nie zdało.” Bałem się wspomnieć nawet przy nim o matce, by nie przepępniać tego kielicha goryczy, z którego piły jego dziecinne wargi.

Coraz więcej także niepokoiłem się o jego zdrowie, bo mizerniał ciągle i w końcu stał się prawie przezroczystry. Siatka delikatnych żyłek, która dawniej ukazywała mu się na skroniach, gdy się ożywił bardzo, uwidoczniła się teraz stale. Wypiękniał tak, że zrobił się prawie podobny do jakiegoś obrazu. Żal było patrzeć na tę główkę dziecinną, na wpół anielską, która sprawiała wrażenie więdnącego kwiatu. Na pozór niby nic mu nie było, ale niknął i tracił siły. Nie mógł już udźwignąć wszystkich książek w tornistrze, więc wkładałem mu tylko niektóre, resztę zaś nosiłem, bom teraz codziennie prowadził go i odprowadzał ze szkoły.

Święta wreszcie nadeszły. Konie z Zalesina czekały od dwóch dni, a list pani Marii, który przyszedł wraz z nimi, zapowiadał, iż nas tam wszyscy wyglądają z niecierpliwością. „Słyszałam, że ci, Michasiu, ciężko idzie – kończyła pani Maria – nie spodziewam się już celujących, chciałabym tylko, by i nauczyciele twoi myśleli tak jak ja, że uczyniłeś wszystko, co było w twojej mocy, i że dobrym sprawowaniem starałeś się wynagrodzić niedostateczne postępy.”

Ale nauczyciele myśleli inaczej pod każdym względem, więc cenzura zawiodła i to oczekiwanie. Ostatnia publiczna nagana tyczyła się wprost sprawowania chłopca, o którym pani Maria miała także odmienne pojęcie. W opinii niemieckich profesorów to tylko dziecko dobrze się sprawiało, które płaciło śmiechem za ich drwiny z „polskiego zacołania”, języka i tradycji. Skutkiem takich pojęć etycznych Michaś, jako nie dający widoków, by mógł na przyszłość słuchać z korzyścią wykładów, a zabierający na próżno miejsce innym, został usunięty ze szkoły. Przyniósł ten wyrok wieczorem. W mieszkaniu było już prawie ciemno, bo śnieg obfity padał na dworze, więcem nie mógł dojrzeć twarzy dziecka. Widziałem tylko, że poszedł do okna, stanął w nim i bezmyślnie, w milczeniu patrzył na płatki śnieżne, kręcące się w powietrzu. Nie zazdrościłem biedactwu myśli, które na kształt tych płatków musiały mu tam kręcić się po głowie, ale wolałem z nim nie mówić o cenzurze i wyroku. W ten sposób upłynął nam kwadrans w przykrym milczeniu, a tymczasem ściemniło się prawie zupełnie. Zabrałem się do układania rzeczy w kuferek, widząc zaś, że Michaś stoi ciągle przy oknie, rzekłem wreszcie:

– Co tam robisz, Michasiu?

– Prawda – odparł głosem, który dygotał i zatrzymywał się na każdej sylabie – że mama siedzi teraz z Lolą w zielonym gabinecie przed ogniem i myśli o mnie?

– Być może. Czemu ci tak głos drży? czyś nie chory?

– Nic mi nie jest, panie, tylko mi bardzo zimno. Rozebrałem go i położyłem natychmiast do łóżka, a rozbierając patrzyłem z litością na jego wychudzone kolana i ręce tak cienkie jak źdźbła trzciny. Kazałem mu napić się herbaty i okryłem, czym było można.

– Ciepłej ci teraz?

– O, tak! Głowa mnie trochę boli.

Biedna głowa, miała od czego rozboleć. Zmęczone dziecko usnęło wkrótce i oddychało pracowicie przez sen swymi wąskimi piersiami, ja zaś skończyłem pakować jego i swoje rzeczy; potem, że także czułem

się niezdrów, położyłem się zaraz. Zdmuchnąwszy świecę, Usnąłem prawie w tej samej chwili.

Koło trzeciej po północy obudziło mnie światło i jednostajne, dobrze mi znane mruczenie. Otworzyłem oczy i serce mi забиło niespokojnie. Na stole paliła się lampa, przed stolikiem zaś nad książką siedział Michaś w jednej koszuli; policzki jego pałały, oczy były przymknięte, jakby dla lepszego natężenia pamięci, głowa trochę w tył pochylona, senny zaś głos powtarzał:

– *Coniunctivus; Amem, ames, amet, amemus, ametis...*

– Michasiu!

– *Coniunctivus: Amem, ames...*

Szarpnąłem go za ramię:

– Michasiu!

Rozbudził się i począł mrugać oczyma ze zdziwieniem, patrząc na mnie, jakby mnie nie poznał.

– Co ty robisz? Co tobie, dziecko?

– Panie – odrzekł uśmiechając się – powtarzam wszystko od początku; muszę jutro dostać celujący...

Porwałem go na ręce i zaniósłem do łóżka; ciało jego parzyło mnie jak ogniem. Na szczęście doktor mieszkał w tym samym domu, sprowadziłem go więc natychmiast. Nie potrzebował się długo namyślać. Chwilę potrzymał puls dziecka, potem rękę położył na czole: Michaś miał zapalenie mózgu.

Ach! wiele rzeczy nie mogło mu się widocznie w głowie pomieścić.

Choroba przybrała szybko zatrważające rozmiary. Posłałem depezę do pani Marii i na drugi dzień dzwonek, targnięty gwałtownie w przedpokoju, zwiastował mi jej przybycie. Jakoż otworzywszy drzwi, ujrzałem ją bladą, pod czarnym kwefem, jak płótno; palce jej z niezwykłą siłą wsparły się na moim ramieniu i cała dusza wybiegła do oczu, utkwionych we mnie, gdy spytała krótko:

– Żyje?

– Tak. Doktor mówił, że jest lepiej.

Odrzuciła woal, na którym osiadł szron oddechu, i wbiegła do pokoju dziecka. Kłamałem. Michaś żył wprawdzie, ale nie było mu lepiej. Nie poznał nawet matki, gdy siadła przy nim i wzięła go za rękę. Dopiero gdy mu na głowie położył świeży lód, począł mrużyć powieki i usilnie wpatrywać się w schyloną nad nim twarz. Myśl jego natężyła

się widocznie, walcząc z gorączką i obłędem, usta drgały, uśmiechnął się raz i drugi, a w końcu wargi jego wyszeptały:

– Mama!...

Ona chwyciła go za obie ręce i przesiedziała tak przy nim kilka godzin, nie zrzuciwszy nawet podróznego ubrania. Dopiero gdy zwrócił na to jej uwagę, rzekła:

– Prawda. Zapomniałam zdjąć kapelusza.

Gdy go zdjęła, serce ścisnęło mi się dziwnym uczuciem: oto między blond włosami, zdobiącymi tę młodą, piękną głowę, świły gęsto srebrne nitki. Trzy dni temu może ich tam nie było jeszcze.

Zmieniała teraz sama okłady chłopcu i podawała lekarstwo. Michaś wodził za nią oczyma, gdziekolwiek się ruszyła, ale znowu jej nie poznawał. Wieczorem gorączka zwiększyła się. Deklamował w malignie dumę o Żółkiewskim ze *Śpiewów* Niemcewicza, chwilami przemawiał w języku wykładowym, to znów odmieniał rozmaite słowa łacińskie. Wychodziłem co chwila z pokoju, bom nie mógł tego słuchać. Gdy był jeszcze zdrów, uczył się w sekrecie ministrantury chcąc matce za przyjazdem na wieś sprawić niespodziankę – i teraz dreszcz mnie przejmował, gdy w ciszy wieczornej słyszał to dziecko jedenastoletnie, powtarzające przed śmiercią jednostajnym, gasnącym głosem: *Deus meus, Deus meus, quare me repulisti et quare tristis incedo, dum affligit me inimicus!*

Nie umiem powiedzieć, jakie tragiczne Wrażenie robiły te słowa. Była to Wigilia Bożego Narodzenia. Z ulicy dochodził gwar ludzki i brzęczenie dzwonek przy sankach. Miasto przybierało powierzchowność świąteczną i radosną. Gdy się ściemniło zupełnie, przez okna na drugiej stronie ulicy widać było choinkę jarzącą się od świeczek, pozawieszaną złotymi i srebrnymi, błyszczącymi orzechami, a naokoło niej główki dziecinne jasne i ciemne, z lokami rozwianymi w powietrzu, skaczące jak na sprężynach. Okna pały od światła, a całe wnętrze rozlegało się od krzyków radości i zdziwienia. Między głosami dochodzącymi z ulicy nie było innych jak wesole i radość stawiała się ogólną; tylko jeden nasz malec powtarzał, jakby z żalnością wielką: *Deus meus, Deus meus, quare me repulisti?* Pod bramą zatrzymali się chłopcy z szopką, i wkrótce doszedł nas ich śpiew: „W żłobie leży, któż pobieży.” Noc Narodzenia zbliżała się, a myśmy drżeli, by to nie była noc śmierci.

Przez chwilę zdawało nam się jednak, że chłopiec oprzytomniał, bo zaczął wołać Loli i matki, ale to krótko trwało. Szybki jego oddech

czasem ustawał zupełnie. Nie było się co łudzić! Ta mała dusza była już na wpół tylko między nami. Umysł jego już odleciał, a teraz on sam już odchodził w jakąś ciemną dalekość i nieskończoność i nie widział już nikogo, i nie czuł nic, nawet głowy matki, która leżała, jak martwa, na jego nogach. Zobojętniał i nie oglądał się już na nas. Każdy oddech jego piersi oddalał go i jakby zasuwał w mrok. Choroba gasiła po kolei iskierkę po iskierce życia. Ręce dziecka, leżące na kołdrze, rysowały się już na niej z tą ciężką bezwładnością rzeczy martwych; nos jego zaostrzał się, a twarz nabierała jakiejś chłodnej powagi. Oddech tylko coraz był szybszy, a w końcu stał się podobny do szeptu zegarka. Chwila jeszcze, jedno westchnienie, i ostatnie ziarnko piasku miało się zsytać z klepsydry: miał być koniec.

Koło północy zdawało się nam stanowczo, że już kona, bo zaczął chrapać i jęczeć, jak człowiek, któremu usta zalewa woda, a potem zamilkł nagle. Ale lusterko, które przyłożył mu doktor do ust, przesłaniało się jeszcze mgłą oddechu. W godzinę później gorączka zmniejszyła się nagle: myśleliśmy wszyscy, że już uratowany. Sam doktor miał niejaką nadzieję. Biednej pani Marii zrobiło się słabo.

W ciągu dwóch godzin coraz mu było lepiej. Nad ranem, że to już czwartą noc spędzałem przy malcu bezsennie i że kaszel dusił mnie coraz mocniej, wyszedłem do przedpokoju i położywszy się na sienniku, usnąłem. Obudził mnie głos pani Marii. Myślałem, że mnie woła, ale w ciszy nocnej usłyszałem wyraźnie: „Michasiu! Michasiu!” Włosy mi na głowie powstały, gdym zrozumiał ten straszny akcent, z jakim wołała na dziecko; zanim jednak się zerwałem, wbiegła sama do przedpokoju, ogarniając ręką świecę, i dygocącymi wargami wyszeptowała:

– Michaś... umarł!

Pobiegłem co tchu do łóżka chłopca. Tak jest. Osadzenie głowy w poduszce, otwarte usta, oczy wbite nieruchomie w jeden punkt i stężalność wszystkich rysów nie zostawiały najmniejszej wątpliwości: Michaś umarł.

Nakryłem go kołdrą, którą matka, zrywając się z łóżka, zsunęła z jego wychudłych zwłok, i zamknąłem mu oczy, a potem musiałem długo cucić panią Marię. Pierwszy dzień świąt zszedł mi na przygotowania do pogrzebu, które były dla mnie straszne, bo ona nie chciała odstąpić zwłok, a ciągle jej sił brakło. Zemdląła, gdy ludzie przyszli brać miarę na trumnę, potem gdy zaczęto ubierać ciało, na koniec gdy ustawiano katafalk. Rozpacz jej stykała się co chwila z obojętnością

służby pogrzebowej, przywykłej do takich widoków, i przechodziła prawie w oblęd. Sama układała heblowiny w trumnie pod atlasem, bredząc jak w gorączce, że dziecko będzie miało głowę za nisko. A Michaś leżał tymczasem na łóżku, ubrany już w nowy mundur i białe rękawiczki, sztywny, obojętny i pogodny. Włożyliśmy w końcu ciało do trumny i ustawili na katafalku, a naokoło dwa rzędy świec. Pokój, w którym biedne dziecko tyle się naodmieniało słów łacińskich i naodrabiało zadań, zmienił się jakby w kaplicę, bo zamknięta okiennica nie puszczająca światła dziennego, a żółty, migotliwy blask świec nadawał ścianom pozór jakiś kościelny i uroczysty. Nigdy też, od czasu jak dostał ostatnie celujące, nie widziałem u Michasia twarzy tak rozpozgodzonej. Delikatny jego profil, zwrócony do sufitu, uśmiechał się łagodnie, jakby chłopiec w tej wieczystej rekreacji śmierci upodobał sobie i czuł się szczęśliwym. Migotania świec nadawały twarzy jego i temu uśmiechowi pozory życia i snu. Powoli chłopcy, koledzy jego, którzy nie powyjeżdżali na święta, poczęli się schodzić.

Oczy dzieci rozszerzały się ze zdziwieniem na widok świec, katafalku i trumny. Może te małe mundurki dziwiła powaga i rola kolegi. Oto niedawno był jeszcze między nimi, zginał się jak i oni pod ciężarem tornistra przeładowanego niemieckimi książkami, dostawał złe stopnie, odbierał połajania i nagany publiczne, miał zły akcent; każdy z nich mógł go pociągnąć za włosy lub za ucho; a teraz leżał taki wyższy od nich, uroczysty, spokojny, otoczony światłem; wszyscy zbliżali się do niego z szacunkiem i pewną trwogą – i nawet Owicki, choć prymus, niewiele wobec niego znaczył. Chłopcy, trącąc się łokciami, szeptali sobie, że teraz on już o nic nie dba, że gdyby nawet „Herr Inspektor” przyszedł, to on by się już nie zerwał, nie przestraszył, ale uśmiechałby się tak samo spokojnie; że on tam zupełnie, zupełnie może robić, co mu się podoba, hałasować, jak zechce, i mówić choćby po polsku do małych aniołków ze skrzydełkami pod szyją.

Tak szeptać zbliżali się do szeregu świateł i odmawiali „wieczny odpoczynek” Michasiowi...

Następnego dnia przykryto trumnę wiekiem, umocowano ją gwoździami i powieszono na cmentarz, gdzie grudki piasku pomieszane ze śniegiem wkrótce ją skryły przed moimi oczyma... na zawsze...

Dziś, gdy to piszę, upłynęło już od tego czasu blisko rok, ale pamiętam cię i żal mi Ciebie, mój mały Michasiu, mój kwiatku za wczesnie uwiedły! Miałeś zły akcent, ale serce poczciwe. Nie wiem, gdzie jesteś, czy mnie słyszysz, wiem tylko, że twój dawny nauczyciel kaszle

coraz więcej, że mu coraz ciężej, samotniej, i wkrótce może odejdzie,
jak ty odszedłeś...